№ 42. Warszawa, dnia 15 (3) Października 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Obrady biegłych p. J. D. — Rosya wobec rewolucyi lipcowej p. D. — Z mojego pamiętnika. L. Börnego. — Jerzy Brandes, szkica literackie p. Jadwigę Krausharową. — Obecne i przyszłe pożywienie człowieka (według Beketowa.) II. p. J. W. — Teorya wychowania, oparta na historyi, psychologii, moralności, polityce (podług Gabriela Compayré) IV. p. Adolfa Dygasińskiego. — Badania dziejowe: Bunt gdański w r. 1525, napisał Antoni Lorkiewicz p. Wł Smoleńskiego. — Liberum veto. — W perspektywie p. A. M. — Tydzień polityczny. — Jeszcze wół Pitagorasa i prawda p. Jana Finkelhausa. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenie.

OBRADY BIEGŁYCH.

Świeżo zwołane i obradujące w Petersburgu nad ograniczeniem pijaństwa i przesiedlenia się włościan zgromadzenie biegłych posiada, zarówno z formalnej jak i z materyalnej strony, szczególną ważność. Po raz drugi dopiero (pierwszy raz w sprawie opłat wykupowych) rząd nie poprzestaje ani na własnej wiedzy, ani na własnym rozumie i powierza rozstrzygnięcie ważnych zagadnień państwa jego przedstawicielom. Minister spraw wewnętrznych, zaznaczywszy w swem przemówieniu tę okoliczność, upewnił biegłych, że służy im zupełne prawo swobody w wyrażaniu swych mniemań. „Nie potrzebujecie panowie — rzekł — krępować się i możecie najzupełniej szczerze wypowiadać swoje przekonania. Nie ulega wątpliwości, że najlepszym sposobem uniknięcia nieporozumień jest wzajemna otwartość." Nie przesądzając dziś ostatecznych wyników zastosowania tego sposobu, przyznać musimy, że on, jako zasada polityki wewnętrznej państwa rosyjskiego, jest znacznym postępem. Zapewnie, prawo swobody obradowania nad pijaństwem i przesiedlaniem się chłopów rosyjskich nie może biegłym nastręczyć sposobności do skorzystania z niej w zbyt wielkim stopniu; bądź co bądź, jest ona innowacyą, która sama przez się posiada wysokie znaczenie a jeżeliby stanowić miała drugie ogniwo w łańcuchu dalszych tego rodzaju „sposobów," kryłaby w sobie zapowiedź skierowania nawy państwowej na nową drogę. Drogę tę minister spraw wewnętrznych tak określił: „Z woli Najjaśniejszego Pana po raz drugi w ciągu roku bieżącego wezwani zostali eksperci ziemscy w tym celu, ażeby *najżywotniejsze sprawy* kraju nie były rozstrzygane bez wysłuchania przedstawicieli miejscowych, dobrze obeznanych z rzeczywistem położeniem rzeczy." Słowa te wyraźnie zapowiadają, że łańcuch tego rodzaju zgromadzeń nie zakończy się na zebraniu obecnem, gdyż trudno przypuścić, ażeby pijaństwo i przesiedlanie się włościan wyczerpywały niezmierzony obszar „najżywotniejszych spraw" państwa.

Tyle co do strony formalnej powołania biegłych.

Jak wiadomo, mają oni objawić swe zdanie w dwu zagadnieniach: jak ograniczyć pijaństwo i jak zapobiedz wędrówkom poszukujących bezpłatnej ziemi włościan. Obie te kwestye wyrosły na gruncie rosyjskim, gdy jednakże druga zamyka się wyłącznie w granicach stosunków społecznych Cesarstwa, pierwsza pośrednio przy zmienionych ustawach, może wpływ wywrzeć i na nasze życie. Dla tego objaśniwszy tamtą pokrótce, tą zajmiemy się szczegółowiej.

Od pewnego czasu, głównie zaś w roku minionym i obecnym włościanie rosyjscy z mniej urodzajnych gubernij (np. charkowskiej, półtawskiej i t. d.) zaczęli tłumnie wysiedlać się i przeciągać w inne miejsca. Byli między nimi ludzie biedni i w dawnych swych siedzibach nieposiadający dość ziemi, ale byli także zamożni, złudzeni nadzieją otrzymania jej bezpłatnie. Ci ostatni, przekonawszy się o swej omyłce, wracali do domu, ponosząc znaczne straty w dalekiej wędrówce i wpadając w sidła zręcznych wyzyskiwaczów. Ponieważ ruch ten rozpoczyna się zwykle w kwietniu, idzie więc o to, jak mu zapobiedz w tych wypadkach, w których naraża jedynie włościan na niszczące straty?

Zupełnie od tej sprawy niezależną jest druga, poddana osądzeniu biegłych, mianowicie olbrzymio w Rosyi rozrosłe pijaństwo. Ponieważ tępienie tego nałogu jedynie mocą surowych przepisów o akcyzie nie osiągnęło celu, rząd więc pyta obywateli państwa, co zrobić.

Ażeby odpowiedź na to pytanie uwolnić od krępujących ją dotąd więzów, minister skarbu dał biegłym następujące zapewnienie: „Niepodobna na handel trunkami patrzeć wyłącznie ze stanowiska bezpośrednich korzyści kasy państwowej. Interesy jej w obecnej chwili nie powinny nam przesłaniać zadań moralnych i korzyści przyszłych z podniesienia poziomu moralności i dobrobytu narodowego. W tym wypadku niezbędne są ofiary finansowe, ale w granicach, wskazanych przez konieczność i rozsądek; interesy bowiem finansowe są również interesami narodu, który przedewszystkiem cierpi na ich rozstroju."

W słowach tych słyszymy zaznaczoną ważną zmianę, mianowicie zrównoważenie interesów moralnych z materyalnymi. Dotychczasowe gospodarstwo akcyzne przestrzegało tylko ostatnich i nawet w staraniu o ograniczenie pijaństwa pamiętało o korzyściach skarbu. Teraz minister przyznaje konieczność pewnych „ofiar pieniężnych" i zastrzega jedynie, ażeby te ofiary nie przekroczyły należnej granicy. Rezultat więc obrad zależeć będzie od tego, czy biegli dostrzegą tę granicę bliżej, czy też dalej.

Jak w sprawie opłat wykupowych, podobnie i tu osobna komisya wypracowała już systemat środków przeciwko pijaństwu, który właśnie ma być poddany krytyce biegłych. Środki te zawierają się w następujących punktach:

1) Zmniejszenie liczby szynków. Tu należą:

a) zastosowanie ich liczby do rozmiaru podatku patentowego; b) prawo stowarzyszeń i instytucyj określania miejscowości, w których albo rozprzedaż nie powinna odbywać się wcale, albo istnieć mogą tylko

pewne jej postacie; c) pozwolenie towarzystwom ziemskim i osobom prywatnym pobierać opłatę za prawo handlu trunkami; d) pozwolenie towarzystwom ziemskim utrzymywać po wsiach zbiorowe zakłady szynkowe.

2) Środki godzące sprzedaż trunków z wymaganiami moralności ludu. Wchodzą tu:

a) żądanie od gospodarzy szynków świadectw, wydawanych przez zarządy powiatowe do spraw włościańskich z udziałem sędziów pokoju; b) uregulowanie sprzedaży na miejscu i na zewnątrz; c) sprzedaż herbaty w szynkach miejskich.

3) Wzmocnienie nadzoru nad handlem trunkami. Punkt ten otwiera społeczeństwu pole do działania (za pośrednictwem odpowiednich towarzystw) w kierunku szerzenia trzeźwości.

Mając tylko ten ogólnikowy szemat, nie możemy rozbierać jego zasad, gdyż one przedstawiłyby się wyraźnie dopiero w rozwinięciu szczegółowem. Zwrócimy wszakże uwagę na rdzeń rzeczy w stosunkach naszego kraju. Czem jest u nas wiejska karczma? Jest to brudna buda, dzierżawiona nominalnie przez chłopa a faktycznie przez żyda, który w niej posiada tylko beczkę okowity. Większa część tego rodzaju zakładów nie jest ani zajazdem dla podróżnych, ani nawet miejscem zabawy dla miejscowych, lecz stanowi wyłącznie norę do rozpajania ludu. Wobec tego uprawnionem jest pytanie: po co takie karczmy mają istnieć, jeżeli rozstrzygamy kwestyę nie w fiskalnym jedynie duchu? Projekt komisyi mówi o ograniczeniu liczby szynków, my oświadczylibyśmy się za zupełnem ich zniesieniem. Niech powstają zakłady, dające schronienie podróżnym lub rozrywkę włościanom, niech w nich sprzedaje się wódka, ale czemu tolerować domy zepsucia i zniszczenia? Nader słuszną wydaje nam się propozycya komisyi, żądająca, ażeby stowarzyszenia zajęły się urządzaniem gospód. Bo dopóki karczma będzie środkiem spekulacyi jednostkowej, dopóty jej dzierżawcy czy właściciele nie przestaną wyzyskiwać ludu z największą jego szkodą, bez względu na to, czy wódkę szynkować będzie żyd, czy chrześcianin. Nie głosowalibyśmy za ograniczeniem nawet tej swobody, gdybyśmy żyli w Ameryce, śród warunków, gdzie nadużycie wolności może być ciągle równoważone uczciwem i równie nieograniczonem jej używaniem. Jeśli wszakże rząd reguluje samodzielnie stosunki społeczne, musimy wymagać ścieśnienia tam, gdzie społeczeństwo własną działalnością złemu nie podoła. Gdyby zupełna swoboda stowarzyszeń dozwalała zakładać ogniska życia towarzyskiego dla ludu, szkodliwość szynków znalazłaby w tem prawie skuteczną tamę; ponieważ jednak ono nie istnieje, sam tylko rząd może z nimi walczyć. Dotąd walczył przepisami o akcyzie, które zawiodły, teraz musi przeciąć krzewienie się zepsucia prostem usunięciem jego schronień.

Jakkolwiek zmiana przepisów akcyzy może przynieść pewne korzyści, nie sądzimy, ażeby ona sama zdołała złe pokonać. Tkwi ono bowiem nietylko w chęci picia z jednej a w gotowości rospajania z drugiej strony, ale sięga swymi korzeniami w szerokie koło stosunków społecznych, domagających się opieki i przekształcenia. Co pomogą wszystkie ustawy o sprzedaży trunków, jeśli szynk pozostanie miejscem, w którem przedsiębiorca wypłaca robotnikowi pieniądze i zapewnia mu kredyt, w którem biedak składa zastaw a złodziej skradzione przedmioty? Dla tego też sądzimy, że dla należytego rozwiązania kwestyi należałoby przedewszystkiem rozszerzyć jej podstawę.

J. D.

ROSYA WOBEC REWOLUCYI LIPCOWEJ.

Paryska rewolucya lipcowa 1830 r. była od czasu kongresu wiedeńskiego i przymierza świętego pierwszem, rzec można, zjawiskiem politycznem, które starło się śmiało i skutecznie z panującym w Europie legitymizmem. Mocarstwa, tłumiące zbrojną ręką ruchy rewolucyjne na półwyspie pyrenejskim i apenińskim, spokojnie przyjęły i potwierdziły przewrót, wywołany przez niefortunne dekrety Karola X we Francyi i same nawet powagą swą uświęciły na konferencyi londyńskiej ruch belgijski. I te wszakże wypadki wywołały w gabinetach europejskich silne wzburzenie oraz zrodziły myśl zbrojnej interwencyi w sprawie zakłóconego porządku politycznego na Zachodzie.

W dążeniu tem, główną rolę odegrała Rosya, a właściwie cesarz Mikołaj. Historya tego faktu znana jest w ogólnych rysach z wydanych w r. 1864 *Souvenirs d'histoire contemporaine* posła francuskiego przy dworze petersburskim, barona Bourgoinga. Dopiero jednak świeżo ogłoszone w *Russkoj Starinie* dokumenty, dotyczące głównie rokowań z dworem berlińskim, prowadzonych przez jednego z głównych reprezentantów ówczesnej partyi wojownicczej w Rosyi — feldmarszałka Dybicza Zabałkańskiego, rzucają jasne światło na ówczesne stanowisko zarówno dworu petersburskiego, jako też innych państw europejskich (mianowicie Prus i Anglii) wobec kwestyi francusko-belgijskiej. Widać z nich, że myśl wojny z „jakobinami“ i demagogami francuskimi silnie nurtowała, pomimo niesprzyjających okoliczności, w Petersburgu i że powstrzymały ją od urzeczywistnienia jedynie nagłe a niespodziewane wypadki.

Cesarz Mikołaj, jakkolwiek przyjaźnie usposobiony dla Francyi i Karola X, nie godził się z polityką tego monarchy — rzecz dziwna—i przez posła swego stanowczo odradzał wszelkich kroków, któreby naruszały zasadnicze podstawy *konstytucyi* i mogły dać powód do zaburzeń. To też gdy w końcu lipca 1830 r. postępowanie rządu francuskiego coraz bardziej stawało w sprzeczności z opinią, cesarz okazywał wyraźne niezadowolenie i nie taił obawy co do następstw tej burzy. W rozmowie z czasowym przedstawicielem rządu francuskiego, baronem de Bourgoing oświadczył, że jeże-

---

[3])

Z mojego pamiętnika.

L. Börnego.

VI.

Frankfurt, 5 maja.

To gałgaństwo gazeciarskie przez nieustanną paplaninę o wysokich, wyższych i najwyższych osobistościach, tak się zepsuło, że słówka *wysoki* nie wahają się używać nawet przy każdym innym wymiarze. Nie rozróżniają ani wielkości powierzchniowej, ani sześciennej — li tylko jedną pionową. Mówią o sprawie *wysokiej* zamiast *wielkiej* ważności, *wysoko* zamiast *bardzo* ważnej. O położeniu zamku wyrażają się, jako *ogłęboko* romantycznem. Zaiste to jest *wysoką* głupotą! Używają dalej *głęboko* błękitne— zamiast *ciemno* błękitne. Zdaje mi się, że jest to wynalazek Fouqué'go. Dobre to dla Fouque'go — jest to jego feudomania. Ale co to obchodzi literatów mieszczańskich? Dlaczego mają go naśladować?

Czytając sprawozdania berlińskiego korespondenta dziennika *Allgemeine Zeitung* doznaje się wrażenia, jak gdyby kto gryzł wodę; są to delikatne *méringues à la crême*, które się raczej pije, aniżeli je. I tak wyraził się on niedawno: *mówią w wyższych sferach o najwyższym projekcie podróży na północ*. Spróbuję ja, dawny prymus, przetłumaczyć ten frazes na język francuski. Meidinger pomóż!

Wysoki — *haut*, wyższy — *plus haut*, najwyższy — *le plus haut*. W wyższych kołach — *dans les plus hauts cercles*. Obawiam się, by zdanie to nie było fałszywie przetłumaczone. O ile sobie przypominam z czasów Robespierre'a, francuzi chcąc utworzyć stopień najwyższy kładą przed stopniem wyższym przedimek; *dans les plus hauts cercles* znaczyłoby więc nie w wyższych, tylko w najwyższych sferach. Jak tu wydobyć owo *wyższe*. Niewiem; mógłbym wprawdzie pomódz sobie gdybym zamiast *hauts cercles* użył *cercles élevés*, lecz miałbym się z pyszna. Gdyby bowiem moje francuskie tłomaczenie napowrót przełożono na język niemiecki — a dość jest ludzi powierzchownych, którzy nigdy źródeł nie badają — wypadłoby *wzniosłe koła*. Uchowaj Boże! znaczyłoby to tyle co koło książęcych osób. Delikatna to materya! Pst! już jest; powiem: *cercles qui sont plus que hauts*. Brawo!... Śmieszne to jednak, że w niemieckim comparativus *wyższy* mniej wyraża niż positivus *wysoki*. Gdyby bowiem korespondent powiedział w wysokich nie w wyższych kołach — możnaby mniemać, że tu mowa o sferze ministrów.

Teraz dalej. Wysoki projekt podróży — *un haut projet de voyage*. Najwyższy projekt podróży — *un plus haut projet de voyage*. Lecz to znaczyłoby wyższy projekt podróży. Jak tu dostać stopień najwyższy? Stój—już jest; powiem: *un projet de voyage l'un des plus hauts*. Tak więc w całości: *On parle dans les cercles, qui sont plus que hauts, d'un projet de voyage l'un des plus hauts au nord*.

Napociłem się, lecz ukończyłem żmudną pracę. Jeśli i w niebie się kłócą — a domyślam się tego — to z pewnością cienie moich nauczycieli francuskiego języka walczyć będą o sławę swego ziemskiego ucznia. Jednym z nich był stary, niemiecki żyd Wolf, nazywany *Wolfem paryskim*, ponieważ w młodości swej przez kilka lat sprzedawał laski bambusowe na Pontneuf. Niedawno czterdzieści lat upłynęło, a jednak żywo przypominam sobie, jak się stary ten paryżanin mozolił, by mię nauczyć należytej wymowy w słowach na *ille* n. p. *canaille, bataille, oreille*. W końcu powiodło mu się. Wymawiałem słowo *oreille* zupełnie tak, jak żądał, t. j. *orehgelje*. Przez długi czas nie mówiłem inaczej jak *orehgelje*. W tem zdarzyło się, że w Ems poznałem

li król zapomni o swej przysiędze, tylko rezultat walki ulicznej rozstrzygnie jego spór z narodem. Gdy wkrótce potem zasadność tych obaw stwierdziły wiadomości z Paryża, cesarz wpadł w gniew i myśl o wojnie z Francyą nagle opanowała jego plany. Baron de Bourgoing starał się wpłynąć na uspokojenie monarchy, wystawiając smutne skutki podobnego kroku dla całej Europy i oświadczył, że w takim razie Francya będzie musiała wejść w ściślejsze stosunki z Anglią. „Między mną i Anglią — odrzekł na to cesarz — zachodzi wielka dla was różnica. Teraz nawet, gdy to, co się u was dzieje, oburza mnie i niezadowalnia, nie przestałem interesować się losami Francyi. W ostatnich właśnie dniach wciąż mię niepokoiła myśl, że Anglia, która wam zazdrości podbojów w Algierze, może skorzystać z waszych zaburzeń wewnętrznych, ażeby wam zakwestyonować tę piękną posiadłość. Co do Austryi, ta drży o Włochy, i tylko z tego powodu niezadowolona jest z waszej dawnej rewolucyi. Zresztą Austrya nie troszczy się o to, że wam źle idzie, podczas gdy my szczerze się cieszymy, jeżeli Francya robi postępy w potędze i dobrobycie.“ Nie omieszkał jednak stanowczo zaznaczyć, że uzna we Francyi ten tylko stan rzeczy, który oparty będzie na zasadzie legitymizmu i wyjdzie od legalnej władzy królewskiej.

Jednocześnie rozpoczął cesarz Mikołaj kroki dla bliższego porozumienia się z mocarstwami ościennemi. Z wyboru osób, którym sprawa ta została powierzona, można wnosić, o ile w jej celach leżały zamiary pokojowe. Wybrani zostali: Dybicz i hr. Orłów, główni stronnicy partyi wojennej, co do których nie mogło być wątpliwości, że w duchu swych pragnień posłannictwo to spełniać będą. W instrukcyi, danej Dybiczowi przy jego wyjeździe do Berlina, wyraził cesarz zupełne zaufanie do polityki swego powinowatego króla Fryderyka Wilhelma III, oraz gotowość stosowania się do niej, w każdym jednak razie pragnął wypowiedzieć i swoje zdanie. Księcia Orleańskiego uważa on o tyle tylko za legalnego władcę Francyi, o ile rządzić będzie jako zastępca małoletniego Henryka V (Chamborda). Nie tai jednak niechęci do Ludwika Filipa z powodu jego „jakobinizmu“ i demokratycznych dążności. Cesarz nie jest za natychmiastową interwencyą w sprawy francuskie. Prąd jednak wypadków każe mu się domyślać, że ustępstwa, czynione demokracyi przez księcia Orleańskiego, doprowadzić muszą albo do rzeczypospolitej albo do próby spóźnionego oporu. „I jedno zaś i drugie doprowadzi do demokratycznej republiki a z nią do wypadków rewolucyjnych 1784 i 1793 r. oraz do wojen, jakie z nimi były złączone, jeżeli się dość wcześnie nie pomyśli o środkach, którymi łaska boska wyposażyła świętą sprawę legitymizmu.“ Ostateczna zatem propozycya, uczyniona Prusom, brzmiała: wstrzymać się na razie od kroków wojennych, ale mieć w pogotowiu armię i plan działania.

W tym też duchu działał cesarz Mikołaj u siebie. Ciężka cholera w Moskwie krzyżowała wprawdzie niemało przygotowania wojenne, i zmusiła go nawet do udania się na miejsce zarazy dla osobistego kierowania środkami zaradczymi. Lecz był to fakt zbyt drobny wobec gotowości do obrony legitymizmu na Zachodzie, tak że minister wojny 17 października otrzymał szczegółowe rozporządzenie co do postawienia armii na stopie wojennej, ażeby z końcem roku gotowa była do wymarszu. Podobneż polecenie wydano Wielkiemu Księciu Konstantemu względem wojska polskiego, które w pierwszej linii miało wyruszyć za granicę.

Sprawa uruchomienia armii z powodu różnych trudności szła powoli. Hr. Nesselrode, minister spraw zagranicznych, pisze (22 października) do Dybicza: „Nie śpimy tu na różach; cholera grasuje w wielu guberniach, które z tego powodu muszą być wyłączone od poboru; z przyczyny środków, przedsięwziętych przeciwko zarazie, handel wewnętrzny w zastoju; nie jesteśmy pewni, czy cholera i tu nie przyjdzie. Mieliśmy złe zbiory i podatki skąpo wpływają, a w takich ważnych okolicznościach przedsiębierzemy przygotowanie do wojny, której skutki Bóg jeden przewidzieć może.“ Z drugiej strony, dwory berliński i londyński nie okazywały wielkiej ochoty do wojny. Dybicz siedział w Berlinie i z dnia na dzień obietnicami powstrzymywany nic pewnego donieść nie umiał. „Zaczynam tracić cierpliwość — pisał do niego cesarz (13 października). Za każdym listem zapowiadasz mi albo wysłanie stanowczego kuryera, albo swój powrót, a od dwu miesięcy ani jedno ani drugie nie następuje.“ W tymże liście donosi o postępie uzbrojenia oraz dodaje, że jeżeli jest sposób uniknięcia tej wojny, to tylko przez pokazanie „jakobinom wszystkich krajów, że ich się nie boimy, że jesteśmy pod bronią i że, gdyby nawet Opatrzność miała postanowić o naszej zgubie, umielibyśmy zginąć z honorem.“

W listopadzie wypadki zdawały się wreszcie przybierać lepszy obrót dla partyi wojennej. W liście do Dybicza z d. 17 hr. Nesselrode, którego zdanie o wojnie i jej widokach przytoczyliśmy powyżej, lepiej już zapatruje się na sprawę i widzi zwrot pomyślny w działaniach rządu pruskiego, oraz nie wątpi o pomyślnym rezultacie, choćby nawet Anglia była przeciwna. Tylko książę Konstanty, jakkolwiek przed 18 listopada postawił już na stopie wojennej wojsko polskie i korpus litewski, oświadcza się przeciwko wojnie. Zdaniem jego należało Francyą zostawić samej sobie, żeby ją rozterki wewnętrzne rozerwały, gdy tymczasem wojna zewnętrzna połączy wszystkie stronnictwa dla obrony kraju.

Powoli zbliżył się grudzień, w którym armia miała być uruchomiona; w Petersburgu partya wojenna stanowczo wzięła górę nad opozycyą, żądającą pokoju w imię smutnego stanu finansów. Dybicz z Berlina ciągle ogień rozdmuchiwał. Jeszcze 30 listopada wysłał list do hr. Nesselrode, w którym, bez względu na stan finansów, żądał wojny dla uspokojenia Europy, „uważając ją za ważniejszy czynnik niż motor pieniężny, z którego płynie groźny, przez żydów i ateistów wymyślony, systemat, mający stanowić podstawę przyszłego porządku Europy.“

W chwili gdy Dybicz pisał te słowa, nie wiedział, że nieprzewidziane przez niego wypadki zwróciły dobyty przez Rosyę miecz w inną stronę. Powstanie w Polsce przekreśliło plan interwencyi w sprawy francuskie i wytknęło gotowej do boju armii rosyjskiej nową drogę.

D.

JERZY BRANDES

SZKIC LITERACKI

I.

„W krytyce spoczywa rękojmia umysłowej niezależności i samodzielności społeczeństwa wobec wielkich mocarzy myśli,“ powiad Włod. Spasowicz w studyum swem o Polu.

---

pewnego męża stanu, który był sam *oreille* od stóp do głowy i nauczył mnie właściwej wymowy tego intryganckiego słowa. Trzy dni tylko trwała nasza przyjaźń — lecz obfity plon wynagrodził mi krótkie lato. Nosiłem wtedy, jak i dziś jeszcze, czarną, zielono lamowaną wstążkę z złotą sprzączką, która spadając z szyi na piers utrzymywała zegarek w kieszonce. Z przypadku, z głupiej próżności, czy też z prostej polityki kąpielowej — dość, że wstążka ze sprzączką wyglądała jak wstęga orderowa, zwłaszcza gdy surdut drugą połowę tajemnicy zasłaniał. Ów mąż stanu szukał gorliwie znajomości ze mną i zrobił ją z wielką przyjemnością. Trzy dni nie rozłączaliśmy się i kochaliśmy się jak bracia po orderze. Trzeciego dnia rozpiąłem surdut i dobyłem zegarka, ale nie spóźnić się do źródła. Wtedy przekonał się dyplomata, że moja wstążka orderowa jest tylko poprostu jedwabnym postronkiem, na którym wisiał mój złoty zegarek. Opuścił mię natychmiast i od tego czasu nie widział, nie mówił, nie słuchał mnie więcej, jednak aby się nie okazać zbyt grubiańskim, unikał mię o ile możności. Dyplomata ten był hrabią, otyłym, i posiadał nietylko poddanych, ale także piękne wiadomości. Otyłość jego, która mu chód uprzykrzała, umożliwiła mi zemstę. Każdego południa po jedzeniu, kiedy się goście kąpielowi zbierali w ogrodzie na kawę — siadałem u stołu pod cienistą lipą, na którym stało światło do zapalania fajek. Skoro tylko hrabia wchodził do ogrodu, do którego wejścia siedziałem odwrócony plecami, brał cygaro delikatnie w palce i zbliżał się do owego stołu po ogień. Zaledwie mnie jednak poznawał, cofał się szybko, i dla sprowadzenia sobie ognia z kuchni, nakładał jakie trzydzieści kroków drogi, wystawionej na działanie promieni słonecznych. W ten sposób pokutował przez czternaści dni za swe optyczne złudzenie z wstążeczką od zegarka. Ja się mniej śmiałem aniżeli on się pocił, gdyż doprawdy litowałem się nad nim.

Drugi mój nauczyciel języka francuskiego zwał się Marx; był to ksiądz, emigrant. Mało się troszczył o moją pronuncyacyę słowa *canaille;* natomiast *Voltaire, Voltaire,* wymowy słowa tego znakomicie mogłem się wyuczyć, wypełniało bowiem prawie całą lekcyą. Każdą klątwę, każdą sromotę, wszelkie zgorszenie zwalał na niego i w gniewie swoim zapominał całkiem poczciwy starowina, że mówił z chłopcem ośmioletnim, który o Volterze wtedy nic wogóle — a o rewolucyi francuskiej niewiele więcej wiedział aniżeli dziś jeszcze niejeden siwy mąż stanu. Słyszałem wiele od starych mamek o odrąbywaniu głów — rewolucya i odrąbywanie to stały się dla mnie jednem i tem samem; urządziłem sobie gilotynę i z kart ścinałem, jak młodzieńczy Samson, niejedną arystokratyczną muchę, którą podejrzywałem o wrogie zamiary względem cukru. Poczciwy Marxie, jakże się musiałeś zdziwić i przestraszyć, gdy znalazłeś w raju także Voltera? Z jakąż niechęcią, niezadowoleniem zapytać musiałeś: a gdzież jest piekło?... Na to zbliżył się anioł światła do tronu Boga i wyrzekł: „Dopiero co przybył.“

Wracam do ciebie, miły mój berlińczyku. O gdybyś mi z łaski swej pozwolił raz porządnie cię przetrzepać, jakążbyś mi radość sprawił?! Czyż nie oszczędziłbyś mi tych wszystkich trudów, tej całej rozwlekłej gadaniny, gdybyś zamiast mówić *o najwyższym projekcie podróży ku północy*, powiedział wprost: *następca tronu, jak mówią, wyjedzie do Petersburga?* Czyż sądzisz, że nie potrafilibyśmy rozwiązać takiej dziennikarskiej zagadki? O i my mieszczuchy posiadamy też rozum!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z rozwojem krytycyzmu ściśle są związane: rozwój i rozkwit ogólno duchowy danego społeczeństwa. Jako poważna strażniczka prawdy, której hasłem winna być obrona praw i wolnej myśli ludzkiej od fałszywych teoryj, błędnych formułek i przestarzałych pojęć w ponętną bardzo nie raz formę obleczonych, krytyka jest pierwszym i najważniejszym krokiem do wyzwolenia ducha i do osiągnięcia wyżyn postępu. Śmiało twierdzić można, że krytycyzm, jako towarzysz myśli ludzkiej w poszukiwaniach wielkich i jasnych prawd społecznych i historycznych, jest wszechwładnym i wpływowym drogowskazem, a w objawach i wynikach swoich nieomylnym znakiem pewnej już dojrzałości narodu, na którego łonie zakwitł. Krytyka dobrze zrozumiana będzie zawsze bezwątpienia silnym bodźcem do ustalenia pewników naukowych i zasad etyki, będzie potężną dźwignią literatury, której pola uprawiać nie omieszka, jak ów rolnik i ogrodnik, co wyrywa chwasty i zielska dzikie, aby ziarno zdrowe i kwiat wonny przyniosły bujne i obfite plony. Krytyka nakoniec, jako nauka filozoficzno-estetyczna spoczywać musi na pewnej podwalinie naukowej, i wtedy dopiero, gdy uwzględnia wpływy czasu, miejsca i stosunków, gdy świadoma epoki, w której jej działalność przypada, ducha swego czasu umiejętnie przenika i rozumie potrzeby rozwijającego się i dążącego do światła społeczeństwa, może prawdziwe przynosić korzyści. Jeżeli jeszcze oddamy na usługi tej wszechpotężnej władczyni w dziedzinie literatury uczciwość, powagę i dobrą wiarę, zrobimy z niej przewodniczkę, która piszących i tworzących wieść będzie do ołtarzy prawdy i dobra, a pragnącym wiedzy wskaże kryteryum, gdzie dobre od złego, prawdę od fałszu odróżniać będą mogli.

Wolter jeszcze kiedyś powiedział. że dobrym krytykiem może być tylko artysta, posiadający sporo wiedzy i smak dobry, pozbawione przesądów i zazdrości.

„Prawdziwem natchnieniem krytyka estetycznego — pisze Jerzy Brandes w liście do Andersena r. 1869 — jest zdolność kolejnego wtajemniczania się w rozmaite umysły i w ducha rozmaitych narodów. Dzięki tej zdolności potrafi on wnikać w myśl przewodnią i odczuwać idee, stanowiące podstawę literackich tworów. Krytyk jestto człowiek, umiejący czytać i nauczający innych, jak czytać mają.“ „Dla mnie krytyka jest nauką i namiętnością,“— pisze w innym do niego liście, i zdaje mi się, że wszyscy powinni być przekonani o potrzebie i doskonałości tej nauki...“

Pisarz, który nam zadanie krytyki w tych słowach określa, należy już dziś do najlepszych krytyków chwili; zasłużony rozgłos zaznajamia z pracami jego czytającą Europę, a siła pióra i oryginalność poglądów zapewnia mu rozległy i dodatni wpływ. Na sztandarze, który Jerzy Brandes pewną i silną trzyma ręką, wyrył jasnemi zgłoskami imiona nauki, światła, postępu i patryotyzmu, a choć Dania tego odważnego i śmiałego syna swego uważa za dziecko marnotrawne i zamyka mu wrota swego uniwersytetu a nawet wstępu do ziemi rodzinnej broni, nie ustaje on jednak w raz podjętej pracy krytycznej, na obczyźnie wyrabia sobie sławę a składa ją na ołtarzu kraju ojczystego, w którego historyi literatury niepoślednie i samodzielne zajmie miejsce.

Brandes urodził się r. 1842 w Kopenhadze. Uniwersyteckie studya odbył świetnie, poświęcając się naprzód prawu; następnie, gdy dostał medal złoty za rozprawę estetyczno-filozoficzną, przeszedł na kurs filozofii. Rozwój jego władz umysłowych miał bieg zupełnie prawidłowy i powoli, przy sprzyjających warunkach i pracy, budziło się w nim gorące i samodzielne pragnienie wiedzy i duch krytyczny. Filozoficzne jego pojęcia przechodziły również rozmaite fazy i wybitne przeobrażenia, nim stopniowo doszedł, na własnych badaniach się opierając, do stałych zasad filozofii pozytywnej. Serdeczną miłością kraju swego przejęty, ukochał szczególnie dwu jego przedniejszych poetów i myślicieli: J. L. Heiberga, po którym miał objąć berło krytyki i Kierkegaarda. Pod wpływem ostatniego pozostawał długo; dopiero znajomość języków obcych otworzyła mu szersze pole do humanitarnego wykształcenia i do ogólnego rozwoju na zasadach porównawczych studyów literackich. Nauka języka niemieckiego była wówczas dla duńczyków instynktowo niesympatyczną. Dzika i zażarta walka narodowa oddzieliła przepaścią ich od niemców; nasiona namiętnej nienawiści, wzrosłe na polu polityki, objęły cały obszar sztuki i literatury, a kwestya szlezwicko-holsztyńska i r. 1864 zaogniły jeszcze bardziej nieprzyjazne stosunki dwu narodów. Skutkiem naturalnym tego stanu rzeczy, trwającego dotąd, mimo pracy ludzi dobrej woli, którzy szczęście Danii upatrują w zbliżeniu się do Niemiec, jest ta okoliczność, że Niemcy pozostały dla mieszkańców północy duchowo obce, do tego stopnia, iż nawet nienawistnej mowy niemieckiej z zimną krwią słuchać oni nie mogli. Brandes jednakże wziął się do nauki potrzebnego mu języka, zachwycił się Goethem, a życie tego potężnego wieszcza (*Dichtung und Wahrheit*) wywarło niezatarte wrażenie na młodym jego umyśle.

Filozoficzne studya swoje zaczął Brandes od Hegla, potem czytał uczniów jego, z których Feurbach najlepiej przypadł do jego usposobienia i kiełkujących pojęć wolnomyślnych. Z francuzów, zapoznał się szybko z Henrykiem Taine i pozostał już nazawsze wielbicielem i rzec można po trochu uczniem tego poważnego krytyka, estetyka i mistrza słowa; bo jeżeli kierunkiem myśli i zasadami odbiegł nieraz od tego pierwszego nauczyciela, duchem zostaje mu zawsze pokrewny, a formę obrazową i język z pewnością mu zawdzięcza. Trzeźwość w nim może większa, język i styl jędrniejszy (? *Red*), ale koloryt i metoda te same, co u francuskiego myśliciela, chociaż analiza nie tak kunsztowna i nerwowość poetyczna nie tak rozwinięta.

Przez Taine'a doszedł Brandes do znajomości Stuarta Milla, który niepośledni wpływ wywarł na jego sposób myślenia, dając młodemu rycerzowi, wstępującemu w szranki nauki, niejako ostatnie filozoficzne namaszczenie.

Osobisty stosunek z H. Tainem i z Millem a szczególnie rozmowy i dysputy z autorem *Logiki* były dla Brandesa silnym bodźcem do opuszczenia raz na zawsze zasad filozofii spekulatywnej, wyniesionych jeszcze z uniwersytetu, i poświęcenia się wszelkimi zdolnościami bogato uposażonej i rozwiniętej natury kierunkowi ściśle pozytywnemu.

Z duńskich filozofów bezpośrednio wpływa na Brandesa profesor Bröchner, osobisty jego i serdeczny przyjaciel, mąż wielkiej nauki, śmiały i samodzielny w poglądach, panteista z przekonania, skutkiem prawości charakteru powszechnem na uniwersytecie w Kopenhadze otoczony poważaniem.

Dla dokończenia studyów odbywał Brandes kilka podróży do Francyi, Włoch i Szwajcaryi; przebywał dłuższy czas w Paryżu, a tam stosunki z Tainem, Millem i Renanem, bezwątpienia stanowią epokę w jego życiu. Niezmiernie ciekawe są okoliczności i warunki, wśród których się rozwija talent wpływowego pisarza i bogate pole do obserwacyi przedstawiają chwile urabiania się jego pojęć i zasad, nim doszedł do całkowitej i pełnej dojrzałości, umyślnie więc zatrzymaliśmy się nieco nad ludźmi, którzy towarzyszyli pierwszym krokom jego w dziedzinie naukowej, aby módz dokładnie zbadać pochodzenie jego kierunku filozoficznego, wpływy, które odżywiały jego zdolności, badania, z których wiedzę swą składał, słowem, aby odsłonić źródło, z którego wypłynęły jego pojęcia filozoficzne, religijne, polityczne i literackie.

Uzbrojony do walki, z zapałem młodzieńczym i głęboką wiarą w prawdę, której namiętnie szukał, a której wyniki gorąco pragnął jak najdalej rozszerzyć i panowanie im powszechne zapewnić, z silnem przekonaniem o swych zdolnościach stanął dzielny szermierz w obronie swych zasad.

Na tarczy miał wypisane godła nauki i pracy, za cel wziął sobie postęp, a bronią miała mu być krytyka. Ale nie ta powierzchowna, prywacie służąca, z mdłych teoryjek złożona i strzały swe goryczą zaprawne na oślep rzucająca, tylko poważna kapłanka, na pewnych i stałych podstawach nauki oparta a rękę swą silną ku światłu wyciągająca, która — jak Brandes sam powiada — „czytać umie i innych czytać uczy.“

Dziś po latach kilku walki samodzielnej, której plony zaczynają już kiełkować a w niedalekiej przyszłości zapewne zielenią i kwieciem pokryją łany jego ojczyzny, Jerzy Brandes z kraju usunięty, napastowany przez prasę, najniesłuszniejszymi zarzutami obrzucany, znalazł schronienie w Berlinie. Od r. 1877 mieszka tam stale, a wprawiwszy się w niemiecki język o tyle, że nim swobodnie pisać może, wydaje co rok kilka prac poważnych, krytyk i studyów, zyskując sobie tym sposobem szersze koło czytelników.

Myśl jego i serce zwrócone są zawsze ku Danii z nadzieją, że lepsza przyszłość zaświta i że zabłyśnie na widnokręgu jutrzenka, przy której blasku będzie mógł przemawiać do swych braci zrozumiałym dla nich językiem.

Aby rozebrać i ocenić stanowisko i działalność Brandesa trzeba nam przedewszystkiem scharakteryzować literaturę duńską, choć w kilku słowach, pomówić o jej rozmaitych przeobrażeniach i skreślić obecny stan umysłowy Danii.

Na tem tle dopiero zarysuje się nam w dobitnych konturach profil pisarza, którego krótki życiorys staraliśmy się tutaj nakreślić.

II.

Literatura duńska była aż do XVI wieku tylko gałęzią starej skandynawskiej; dopiero po założeniu uniwersytetu w Kopenhadze (1479) i wprowadzeniu reformacyi do kraju, zaczęła próbować sił swoich w kierunku narodowym. Reformacya przyniosła jej z Niemiec wraz ze świeżemi poglądami i wpływ niemieckiej kultury, a obce żywioły zaczęły się powoli składać na utworzenie narodowej poezyi, która w rzadkich bardzo wypadkach odzywała się tonem zupełnie oryginalnym. Nigdy też Dania, pomimo nawet licznego stosunkowo zastępu talentów pierwszorzędnych i myślicieli poważnych, nie odznaczyła się żadnym samodzielnym ruchem umysłowym a jedynie tylko wielkie prądy i przemiany społeczne z zagranicy odzywały się w kraju słabszem lub silniejszem echem. „Literatura nasza podobną jest do małej kapliczki w wielkim kościele—powiada Brandes—i ona ma swój ołtarz, ale wielki ołtarz znajduje się gdzieindziej.“

Wiek XVI i XVII przynoszą nam imiona poetów przeważnie religijnych, odznaczających się surowością formy i brakiem oryginalności, jakoteż i kilku kronikarzy, biszących po łacinie i duńsku. Nauki przyrodzone zaczynają się już rozwijać, a słynny astronom Tycho Brache sztandar wiedzy podnosi wysoko.

W wieku XVIII poeta liryczny i dramatyczny Ludwik von Holberg nowymi prądami ożywił dziedzinę poezyi duńskiej.

Język narodowy jemu zawdzięcza swoją dzisiejszą postać, a scena—istnienie; niemałe dla kraju położył zasługi, podnosząc jego literaturę do równego prawie z innemi europejskiemi poziomu. Godnym jego następcą był Ewald, nieszczęśliwy, ciężką chorobą złożony i bardzo młodo zmarły poeta. „Łoże boleści jest moim parnasem— zwykł mawiać — i w tych nieszczęśliwych warunkach pisał poematy i dramaty, o szlachetnym pokroju z treścią przeważnie narodową. Jedna z pieśni jego stała się hymnem narodowym duńskim.

Lata działalności dwu tych pisarzy noszą miano złotej epoki literatury, koło nich też grupują się wszyscy poeci i dramatycy, czerpiąc z tego bogatego źródła natchnienie i formę. Wymieniać ich trudno prócz jednego, któremu się miejsce pierwszorzędne należy. Jestto P. A. Heiberg, znakomity dramaturg, pełen zdrowego humoru i werwy demagog, dla swych pism wolnomyślnych z kraju wydalony. Wzmiankowany wyżej cykl poetyczny zamyka Jens Baggesen, liryk i epik, pisarz niezmiernie ceniony i wpływowy, a należący już wraz z Heibergiem do wieku XIX. Ogólny ruch romantyczny na początku naszego stulecia odbił się i w Danii i korzenie swoje zatopi głęboko w podatnym gruncie. Marzycielstwo opanowało umysły, duch patryotyzmu nowem zawrzał życiem, poeci odgrzebywali i badali przeszłość, a fantazyą swą ubierali północne sagi i baśnie ludowe, służące im za tło poetyczne. Dania, która nie posiadało gruntu stosownego by nasiona wolnej myśli, rzucone przez filozofów XVIII wieku i rewolucyę francuzką na nim się przyjęły i plony wydały, odrazu pełną piersią odetchnęła prądem reakcyi, torującej sobie drogę we wszystkich literaturach europejskich. Romantyczna reakcya odpowiadała duchowi narodowemu, znalazła silny punkt oparcia w poetach takich, jak Oehlenschläger, a umysły pierwiastkowe niezdolne do pojęcia wielkich zasad wolności, nieczujące potrzeby swobody myśli i postępu, stały się jej fanatycznymi giermkami.

Dziś jeszcze nawet, gdy już prawie wszystkie cywilizowane kraje otrząsnęły się z tego niezgodnego z biegiem czasu jarzma, Dania jak dawniej w duchu reakcyi myśli, tworzy i polityka.

Oehlenschläger, jako ojciec romantyzmu, przewodniczy całej nowej szkole pisarzy duńskich, szkole zwanej północną, której działalność dwóm przeważnym ulega prądom, mianowicie niemieckiemu sentymentalnemu i chorobliwemu romantyzmowi i północno - narodowym wpływom.

W całej pierwszej połowie obecnego stulecia jesteśmy świadkami walki poważnych usiłowań poetów, chcących podtrzymać i podnieść skarbiec narodowej legendy i historyi z niedostatecznymi środkami mdłego romantyzmu, któremu nad tym potężnym przemistem zapanować trudno. Cała dawna Skandynawia ze swoimi mgłą przysłoniętymi krajobrazami, baśniami i rycerskiemi legendami wraca do życia pod piórem znakomitego twórcy „Aladyna,“ a z północy tryska bogateźródło ożywczej, fantastycznej i szlachetnej poezyi ludowej. W Aladynie uosabia Oehlenschläger psychologiczny ustrój współczesnego sobie pokolenia, dając nam wierny obraz jego skali umysłowej w typie, będącym połączeniem najwyższej poezyi i naiwności pod postacią bohatera, nacechowanego genialną bezczynnością. Za Oehlenschlägerem ciągnie się cały szereg pisarzy, przejętych narodowym ideałem a barwę zewnętrzną i formę czerpiących w niemieckim romantyzmie. Ingemann celuje w powieściach historycznych, na Walter Skocie się wzorując, M. Goldschmidt stwarza powieść ludową, Christian Winther jako poeta erotyczny a Henryk Hertz znany i u nas ze sztuki swojej „Córka króla Réné“ jako dramaturg i liryk niepoślednią twórczością niwę poczyi wzbogacają. Esaias Tergner pisze swoje arcydzieło *Frithjofssage* a H. C. Andersen w nową i oryginalną formę bajek przelewa swoje poetyczne natchnienie i głębokie na świat poglądy. Nareszcie F. Paludan - Müller wierny druh Byrona, najwyżej podnosi chorągiew polityczną swej ojczyzny w epopei *Adam Homo*, z treścią współczesną, polemiczno-satyryczną, uznaną za dzieło pełne dowcipu werwy i podniosłości tak w duchu jak i w formie. W innych utworach swoich, do których bądź z historyi swego kraju, bądź z legend biblijnych wątku czerpie, nie dochodzi już Paludan-Müler do doskonałości poematu *Adam Homo*, tej nieporównanej, wyższym duchem filozoficznym ożywionej satyry, niemającej równej sobie w żadnej prawie literaturze. Główną jego wadą—zagłębianie się w teologiczne zagadnienia i barwa religijna, których w poezyi i w prozie nadużywa. Wogóle ówczesny kierunek romantyczno-narodowy cechuje nietylko silny prąd ku północy, odgrzebywanie tematów zamierzchłej już przeszłości a ztąd lubowanie się w starych baśniach i mitycznych legendach, ale zarazem i pewien koloryt pietystyczny, nabożny, pewien nastrój religijny, którego owocem jest jakaś mistyczna cześć dla zupełnie oderwanych ideałów, polemiczne obrony wiary, i jako objaw naturalny, bajronizm spowity w średniowieczną ortodoxyę. Romantyzm niemiecki odrywał ludzi od ziemi i od życia rzeczywistego, aby w wymarzonym świecie ideałów, o troskach ziemskiego padołu zapomnieć mogli, przeniesiony zaś na grunt północny zakwitł w odmiennej barwie, zagłębił się w ascetycznych rozmyślaniach i w gorącej namiętnej extazie religijnej szukał ukojenia na swoje ziemskie bóle.

Pomiędzy pisarzami tego kierunku dwóch szczególnie wymienić potrzeba Grundtviga i Kierkegaard'a, dwa najprzedniejsze może umysły, jakie Dania wydała, a którym w krótkim nawet rysie społecznej literatury tego kraju obszerniejsze należy się wspomnienie.

Jadwiga Krausharowa.

OBECNE I PRZYSZŁE

pożywienie człowieka

(według Beketowa).

II.

Organizm człowieka zastosowany jest do zwykłego pożywienia. Najlepszym dowodem tego fakt, iż wszelkie zmiany w pokarmie, używanym zwykle, wywierają wpływ szkodliwy na zdrowie i wywołują stany patologiczne w organizmie naszym. Kwestya gatunku pokarmu jest zatem równie ważną, jak kwestya jego ilości. Gdyby na wzór doświadczeń Maxa Pettenhoffera przedsięwzięto badania fizyologiczne nad rolnikiem rosyjskim, karmiącym się wyłącznie niemal chlebem razowym, i nad kirgizem, zamieszkałym w stepach, którego zwykły pokarm stanowi baranina i mięso końskie, wyniki badań tych różniłyby się niewątpliwie. Dla tego też, chociaż obecne pożywienie nasze nader jest różnorodne, myliłby się bardzo ten, ktoby zechciał twierdzić, iż człowiek jest stworzeniem wszystkożernem.

Że mniemanie podobne byłoby mylnem, przekonać nas mogą o tem badania fizyologiczne nad ustrojem organów, służących do trawienia pokarmów.

Porównywając organy te z odpowiedniemi częściami ustroju zwierząt, najbardziej zbliżonych do człowieka, spostrzegamy podobieństwo zdumiewające. Nie mniej ciekawą jest okoliczność, że mózg zwierząt podobnych kształtem zbliża się bardzo do mózgu człowieka. Cuvier, badając mózg orangutanga, był zdumiony tem podobieństwem. Otóż wszystkie te zwierzęta z gatunku małp antropomorficznych, głównie zaś goryl, szympans i orangutany, żywią się wyłącznie pokarmami roślinnymi. Jedzą owoce, pączki, nawet kwiaty, a pomimo, że mają zęby silniejsze i ostrzejsze, niż u człowieka, nie rzucają się one nigdy na inne zwierzęta i nie pożerają ich.

Jedyny wniosek, powiada Beketow, jaki z tego wyprowadzić można, wniosek, na który wskazywał już Cuvier i inni sławni przyrodnicy, jest ten, iż najbardziej stosownym dla człowieka jest pokarm roślinny, ale zupełnie lub na pół miękki.

Z chwilą kiedy człowiek odkrył sposób rozniecania ognia, zaczął używać pokarmów zwierzęcych. Co więcej, odkrycie to pozwoliło mu karmić się wielu produktami roślinnymi, które poprzednio nie miały dlań żadnej wartości, z powodu, iż nie odpowiadały głównemu warunkowi—nie były dość miękkie. Jeżeli więc przyroda zastosowała organizm człowieka do pokarmów roślinnych, zachodzi pytanie, czy mięso nie jest zbyteczną częścią składową jego pożywienia?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, Beketow zastanawia się przedewszystkiem nad tem, jak sam człowiek rozwiązał kwestyę swego pożywienia. W tym celu zwraca się on do statystyki.

Mieszkańcy Europy spożywają daleko więcej mięsa, niż narody zamieszkałe w innych częściach starego świata. W Europie zaś samej pierwszeństwo pod tym względem należy się Wielkiej Bretanii, gdzie na człowieka przypada dziennie do 100 gramów mięsa. We Francyi przeciętciowo przypada dziennie zaledwie 35 gramów na jednostkę; tyleż prawie w Rosyi. Statystyka poucza nas dalej, że mieszkańcy wielkich miast spożywają stosunkowo największą ilość mięsa. Tak w Londynie przypada dziennie na człowieka 250 gramów; w Moskwie i w Petersburgu 210 gr.; w Paryżu mniej, bo około 142 gramy. Mieszkańcy więc wiosek nie spożywają przeciętciowo nawet 35 gramów mięsa dziennie.

Takie są więc dane statystyczne co do Europy. Co do innych części świata nie ma wiadomości dokładnych, pomimo to jednak kwestyę zajmującą nas wyświetlić można. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż w najbardziej zaludnionych krajach Azyi, jak w Indyach, Chinach i w Japonii, hodowla bydła jest bez porównania mniej rozwiniętą, niż w Europie. Co więcej, w Japonii nie istnieje ona niemal wcale, w Chinach prowadzona w niewielkim rozmiarze, zaś w Indyach użycie mięsa surowo wzbronione jest przez religię licznym milionom hindusów. Można więc twierdzić uzasadnienie, iż kwestya pokarmu mięsnego kraju tego wcale nie dotyczy.

Dane co do rodzaju pożywienia mieszkańców Afryki są również niedokładne. Wiemy jednak tyle, że pożywienie to jest przeważnie roślinnem. Hodowla bydła prowadzi się głównie w celu zyskania siły pociągowej. Inaczej zupełnie przedstawia się sprawa pożywienia w Ameryce i Australii.

W Stanach Zjednoczonych, w Ameryce Południowej, a nadewszystko w Australii hodowla bydła prowadzi się na daleko większą skalę, niż w Europie. Tak np. w Australii na tysiąc mieszkańców przypada ośm razy więcej sztuk bydła rogatego i trzydzieści dziewięć razy więcej baranów, niż w Europie. Na pokarmie mięsnym nie zbywa więc mieszkańcom nowego świata. Gdyby jednak olbrzymie te zapasy mięsa dostarczyć Europie, ilość pokarmu mięsnego, przypadająca dziennie na człowieka, zwiększyłaby się niezbyt znacznie.

Widzimy więc, powiada Beketow, że rodzaj ludzki rozwiązał kwestyę pożywienia w sposób przeciwny wymaganiom fizyologów praktycznych. Ogromna większość mieszkańców kuli ziemskiej za zwykłe po-

żywienie nie używa mięsa, ani też pokarmu mięszanego, ale wyłącznie niemal produktów roślinych. Jako dowód tego posłużyć może również olbrzymi rozwój uprawy zboża. Wiemy także, iż pewne rośliny służą za wyłączny niemal pokarm całych narodów. Są ludy, karmiące się jedynie ryżem, inne kukurydzą lub wreszcie pszenicą i żytem. Używający za pokarm mięsa stanowią procent nieznaczny.

Dla tego też, chociaż fizyologia praktyczna uważa pokarm mięszany za najbardziej odpowiedni dla człowieka, pokarm taki dla większości rodzaju ludzkiego stanowi jedynie ideał, może upragniony, dotychczas jednak nieosiągnięty.

Tu zwraca się Beketow do kwestyi pożywienia człowieka w przyszłości. Widzieliśmy, powiada on, że w Ameryce i Australii produkcya pokarmu mięsnego przewyższa potrzeby mieszkańców. Koniecznem więc jest, aby Europa przedsięwzięła na wielką skalę handel tym mięsem. Konieczność ta została dobrze pojętą i obecnie już istnieje wiele towarzystw przemysłowych, zajmujących się przeróbką i przewozem mięsa do Europy. Jeżeli jednak zastanowimy się nad tem, czy i w przyszłości ilość pokarmu mięsnego, produkowanego przez mieszkańców dwu części nowego świata, wystarczy dla zaspokojenia potrzeb pozostałych części kuli ziemskiej, wszelkie złudzenia rozwiać może uwydatniony przez Neumanna-Spallarta fakt zmniejszania się stopniowego ilości zwierząt domowych.

Badania w tym przedmiocie wykazały, iż we wszystkich niemal krajach ilość ludności znajduje się w stosunku odwrotnym do ilości zwierząt domowych. W krajach najbardziej zaludnionych, jak np. Chinach, Japonii i Indyach, wreszcie w różnych krajach Europy stosunek tych zwierząt jest nader nieznaczny w porównaniu z niezamieszkanymi prawie stepami Azyi, Ameryki i Australii.

Bezpośrednim wnioskiem, jaki stąd wyprowadzić możemy, jest ten, iż w miarę rozwoju rolnictwa, przemysłu i cywilizacyi, oraz w miarę odpowiedniego wzrostu ludności, zmniejszy się względna a następnie i bezwzględna ilość zwierząt domowych.

Wniosek ten wykazuje jasno, w jaki sposób rozwiązać należy kwestyę pożywienia człowieka w przyszłości. Kwestya ta, powiada Beketow, wystąpi w bardziej jasnem świetle, jeżeli zwrócimy uwagę na ceny zboża i mięsa za pewien przeciąg czasu. Spostrzeżemy wówczas, iż ceny mięsa wzrastały z większą szybkością, niż ceny zboża, co posłużyć może za jeden dowód więcej, iż produkcya dwu najważniejszych środków pożywienia człowieka rozwija się nie jednakowo. Z czasem substancye mięsne zajmować będą w pokarmie człowieka coraz bardziej podrzędne stanowisko, dopóki wreszcie nie zaginą zupełnie.

W ten sposób z biegiem wieków człowiek z konieczności zadowolnić się będzie musiał wyłącznie pokarmem roślinnym. Na takiej zmianie rodzaju pożywienia ludzkość nic jednak nie straci. Dzisiaj już spotykamy licznych zwolenników wegetaryanizmu, którzy starają się dowieść, iż pokarm roślinny jedynie właściwym jest dla człowieka. Beketow podziela to mniemanie. Pokarm roślinny, według niego, równie jest pożywnym, jak i zwierzęcy. Części składowe w obu razach nie przedstawiają różnicy zasadniczej. A przytem historya uczy, że u wszystkich ludów cywilizowanych rolnictwo rozwinęło się niepomiernie i produkty roślinne w rzędzie środków pożywienia człowieka pierwsze zajęły miejsce. U ludów Wschodu, gdzie cywilizacya najwcześniej kiełkować zaczęła, widzimy wszędzie niemal wysoki stopień rozwoju rolnictwa, a grecy starożytni, u których nauki i sztuki znajdowały się w pełnym rozkwicie, zyskali u barbarzyńców współczesnych nazwę „karmiących się liśćmi."

Dla tego też zczasem upaść winno rozpowszechnione tak dzisiaj mniemanie, iż dla człowieka koniecznym jest pokarm mięszany, że bez mięsa obejść się nie możemy. Produkty roślinne zastąpić nam je mogą w zupełności, byle by w nauce nastąpił zwrot ku udoskonaleniu tego rodzaju środków pożywienia. Przez wprowadzenie nowych kombinacyj substancyj składowych zyskać możemy pokarm roślinny, bardziej pożywny, niż mięso. Tak np. gdyby zmieniono sposób mielenia ziarn zboża i zamiast pozostawiać jedynie substancyę białą, mąkę, zawierającą mało materyi białkowatych, dołączono i zwierzchnią skórkę, chleb byłby wówczas bardziej pożywnym, mąka zawierałaby w sobie o wiele więcej białka.

Na tem polu jednak zdziałano dotychczas bardzo mało, leży ono do dziś odłogiem. Chleb, jaki spożywamy obecnie, niczem nie różni się od tego, który służył za pokarm pierwszym Faraonom, a może nawet przodkom naszym z epoki przedhistorycznej.

J. W.

TEORYA WYCHOWANIA,

oparta na historyi, psychologii, moralności, polityce

(podług GABRIELA COMPAYRÉ).

IV.

Są to szkice tylko i wskazówki psychologiczne, a już tak ważne. Pedagogiczny systemat rzeczywisty, naukowy stawia się wtedy dopiero, gdy psychologia pomnoży swe badania szerszymi jeszcze rezultatami.

Widzieliśmy, jak dalece pedagogika wspiera się na psychologii, ale potrzebuje ona jeszcze innej nauki, mianowicie nauki o przeznaczeniu człowieka, o celu jego istnienia, krótko mówiąc— etyki. Badając naturę ludzką i prawa jej rozwoju, przygotowujemy się tem samem do dania odpowiedzi na te pytania: jak trzeba nauczać? jakie są metody wychowawcze? Rozbierając zaś kwestyę przeznaczenia człowieka jako gatunku lub jako jednostki, przygotowujemy sobie odpowiedź na pytanie: czego należy nauczać? co jest przedmiotem i celem wychowania?

Różne są w tej mierze poglądy; jedni sądzą, iż cnota oraz godność moralna są wyłącznym celem życia — inni, że szczęście stanowi probierz naszych czynów. Zachowując się obojętnie i przedmiotowo względem powyższych poglądów, przejrzyjmy rozmaite formy życiowej działalności, aby nam wyraźnie stanęło przed oczyma, do jakich to kategoryj czynów winna człowieka przygotować edukacya.

1) Człowiek musi żyć fizycznie; szuka on dobrobytu, bezpieczeństwa osobistego. Jeśli mu potrzeba, uczy się jakiegoś fachu rzemiosła, które byt zapewnia.

2) Następnie jest istotą moralną i pod tym względem musi się starać, aby sobie zdobyć cechy moralności, znamionujące: sumienie, rozum, wolę i t. d.

3) Nie jest jednostką samotną: żyje on w rodzinie. Trzeci też cel jego działalności polega na tem, aby wyżywić i wychować dzieci; aby im przekazać swoją fizyczność oraz moralność.

4) Oprócz tego pozostaje w pewnym związku ze społeczeństwem, którego jest członkiem, obywatelem.

5) Nareszcie człowiek, który pracuje nad swoją osobistą całością, który się doskonali moralnie, który wychowuje swe dzieci, a nadto bierze udział w życiu społecznem — powinien jeszcze, jeśli ma czas po temu, zająć się także nauką i sztukami. Nie chodzi tu już o dobrobyt osobisty, rodzinny lub krajowy, ani o rozwój dzielności własnej, ale o poszukiwanie rozkoszy, których dostarcza badanie prawdy lub miłość piękna; chodzi też i o rozszerzenie powszechnej dziedziny umiejętności oraz sztuki (jakkolwiek podział ten odpowiada Spencerowskiemu, są jednakże i różnice).

Otóż pedagogika musi chcieć wychować człowieka tak, aby odpowiedzieć licznym wymaganiom jego przeznaczenia. Co więcej, powinna trzymać się porządku, w jakim moralista wylicza te kategorye działalności. Przejście w wychowaniu wszystkich stopni byłoby ideałem; jest to jednakże niepodobieństwem; trzeba więc poprzestać na częściowej edukacyi, zaczynając od tego, co jest najpotrzebniejsze, od tego, co bezwarunkowo poświęcone być nie może. Postępujemy wprawdzie odwrotnie, wpajając w dzieci zamiłowanie do nauki i sztuk, zamiast uczyć ich rzeczy najpotrzebniejszych. Jest to atoli gwałcenie praw wychowawczych i z tego powodu powszechnie wymagane są reformy.

Zdaje się, iż nauka zachowania samego siebie jest najpotrzebniejszą. Jakiś uczony kończy uniwersytet; na cóż mu się wszystko przyda, jeśli nie umie unikać różnych czynów szkodliwych jego zdrowiu? Wieleż chorób wypływa z naszej nieznajomości praw fizyologii i przepisów higieny!

Ale, zdaniem naszem, człowiek jest nietylko materyalną istotą, którąby miały zupełnie pochłonąć troski o ciało. Nie wystarcza być zdrowem zwierzęciem, trzeba jeszcze być człowiekiem, co, aby się stało— wymaga uprawy moralnej. Umiejętności są nietylko ozdobą umysłu, są one niezbędne, gdy idzie o rozwój najgłówniejszych naszych władz szczegółowych: duch ludzki bowiem nie tworzy się sam przez się, ale należy go tworzyć za pomocą nauki.

Przechodząc do trzeciej formy czynności ludzkich, widzimy, iż ojcowie nasi nie mają pojęcia ani o ciele, ani o duchu swych dzieci. Ani pojęcia psychologiczne nie wspierają ich, gdy idzie o wychowanie umysłowe, ani też żadne wiadomości fizyologiczne, kiedy trzeba poważnie zająć się zdrowiem dzieci. Może się i zdarza, że młody ojciec kupuje coprędzej jakiś podręcznik popularnej higieny, aby wypełnić na poczekaniu próżnię, zrobioną przez edukacyą. Ale cóż to jest warte? Czyż to może wystarczyć dla zadosyćuczynienia ciężkim ojcowskim obowiązkom? Te same uwagi odnoszą się do niewiast, które, wyszedłszy za mąż, wstępują do gospodarstwa bez najmniejszego wyobrażenia o roli, jaką tu odegrać powinny. O gorzka ironio! nasze kobiety często grać umieją tylko—na fortepianie. A i tej muzyki nauczono nie jako środka dostarczającego słodkiej rozkoszy, ale może nieraz jako wabika na męża. Jakiż to więc może być wyższy obowiązek pedagogiki nad przygotowanie należyte ojców oraz matek do spełniania obowiązków rodzicielskich. „Nie jestże to fatalne" — woła Spencer — „że wychowanie przyszłych pokoleń oddane jest na łaskę rutyny i fantazyi, że zależy ono od ciemnych mamek, nianiek i przesądnych babek." Wołamy i my wszyscy, że obowiązkiem kobiety jest wychować dzieci, ale swoją drogą kobiety nie uczą się niczego, co im tu jest potrzebne.

Spojrzyjmy na wychowanie obywatela. Trudno to doprawdy skłonić jednostkę, aby porzuciła swój egoizm i stała się patryotyczną, aby przywykła służyć prawom obowiązującym, aby się stała przyjacielem swoich współziomków. Im atoli trudniejsze zadanie, tem mniej robimy, żeby sprowadzić wartościowe rezultaty. Z pomiędzy licznych nauk, które uczą patryotyzmu, kształcą cnoty obywatelskie, jedne są zupełnie zaniedbane, inne są źle wyzyskiwane. Np. prawa nie uczymy w szkole, historyi zaś—niewłaściwie. Prawo nauczyłoby nas, jakie to zobowiązania są węzłami, łą-

cącymi nas z bliźnimi, a jednocześnie wykształciłby się szacunek dla tego prawa. Co do historyi, to ta, jeśli ma kształcić obywatela, nie powinna być opowiadaniem o stoczonych bitwach, ale raczej badaniem obyczajów i analizą wielkich charakterów. Powinna ona nauczyć wielkich prawd, jak np. że narodowa pomyślność lub niepowodzenie zawisły zawsze od postępowania obywateli, od ich pracy i moralności.

Ostatnią czynnością, zaznaczoną przez nas są umiejętności i sztuki. Nie mówimy tu o *minimum*, jakie obowiązany jest posiadać każdy człowiek wychowany, jeśli nosi nazwę człowieka, ale mamy na myśli wyższy czy najwyższy stopień wykształcenia, do którego niewielu jest powołanych; liczba takich wybrańców będzie wzrastała w miarę wyższego stopnia dobrobytu. Uczeni to i artyści wielcy wykończają oraz udoskonalają świeże formy działalności ludzkiej. W tym dziale nauki matematyczne wzmacniają zdolność rozumowania; fizyka uprawia cenną obserwacyą: zarówno zaś rozumowanie jak i obserwacya wspierają wszystkie stopnie ludzkiego bytu. Cóż mówić o praktycznem zastosowaniu umiejętności do rozwoju przemysłu oraz rzemiosł. Sztuki ze swej strony osładzają szlachetnie ciężkie dolegliwości życia i zachęcają do dalszej pracy ciężkiej.

A więc ideał życia ludzkiego, pojęty ze stanowiska cnoty oraz szczęścia, nie daje się znaleść inaczej jak w stopniowem przygotowaniu do coraz doskonalszych czynności, odpowiadających scharakteryzowanym powyżej kategoryom. Sądzimy, iż żaden z wymienionych pięciu żywiołów nie może być bezkarnie pominięty.

Zdawałoby się zatem, że pedagogika ogólna przy pomocy historyi, psychologii oraz moralności rozwiązała teoretyczne trudności swego przedmiotu. Stoimy atoli wobec nowych zawiłości praktycznych. Człowiek nie jest samotnikiem, nie można go rozwijać tak bezwzględnie; ma on stosunki ze światem rzeczywistym, którego pedagog nie zmodyfikuje według swego widzi mi się. Nie można zrobić tego, co zrobił Rousseau z swoim Emilem. Jeżeli zaś zapomnimy o stosunkach społecznych, wtedy łatwo będzie wychować jednostkę, niezdolną żyć szczęśliwie w życiu rzeczywistem; z drugiej strony, jeśli edukacya zanadto uwzględni praktyczne warunki bytu, to czyż nie będzie zmuszona obniżyć swego ideału wychowawczego? Jednakże pedagogika racyonalna, stawiająca postulat teoretyczny, wymaga także postulatu praktycznego: reformy, stopniowego ulepszania społeczeństwa. Niechaj nauka wychowania nie traci z oka nigdy przyszłości; jest to jej obowiązek, według którego przyczyni się ona do postępu narodów więcej niż jakakolwiek inna potęga ludzka. A przy tem wszystkiem, kiedy pragniemy działać i oddać usługi natychmiastowe, używać jakiegoś zaufania, trzeba się stosować do rzeczywistego stanu społeczeństwa, trzeba pracować dla obecności, nie dla przyszłości bardzo odległej. Stąd to pochodzi szereg kwestyj, które tu ledwie zaznaczyć możemy, a które, aby rozwiązane zostały dokładnie, wymagają pilniejszego zbadania społecznych potrzeb oraz politycznych warunków danego kraju. Tego rodzaju kwestye dają się sprowadzić wszystkie do jednej: jakie należy przeprowadzić stopniowanie w wychowaniu oraz nauczaniu? Psychologia dała nam poznać środki a moralność cele wychowania. Pozostaje jeszcze nauczyć się od nauk społecznych podziału oraz stopniowania, jakie powinno być wprowadzone w nauczanie, ażeby przez to stało się zadosyć wymaganiom życia rzeczywistego. Prawdę mówiąc, ideałem pod tym względem mogłaby być taka ilość specyalnych edukacyj, ile jest różnych zawodów; a taka mnogość stopni, ile jest rozmaitości w warunkach. Jeśli jednak niepodobieństwem jest poznawać tak daleko rozmaitość metod i mnożyć formy edukacyj, to potrzeba przecież nieuchronnie uchwalić pewną ilość działów nauczania, odpowiadającego głównym kategoryom zdolności ludzkich i celów społecznych. Postęp pedagogiki zasadza się tutaj na oznaczeniu ze ścisłością rozmaitych klas edukacyjnych, zgadzających się z istotnemi potrzebami społecznemi.

Doświadczenie wykazuje coraz większą konieczność zaprowadzenia czterech stopni nauczania jak: 1) nauczanie pierwsze, elementarne; 2) nauczanie pierwsze, wyższe, zwane we Francyi specyalnem a w Niemczech realnem; 3) nauczanie średnie swobodne; 4) nauczanie wyższe we wszystkich swoich formach. Z natury rzeczy wypadałoby rozważyć kolejno i osobno znaczenie wszystkich tych działów nauczania. Każdy atoli rozumie, że kuszenie się o coś podobnego w artykule tygodniowego czasopisma jest trudne do przeprowadzenia, zważywszy, iż punkt, w którym pedagogika styka się z polityką a właściwie z socyologią, jest niezmiernie drażliwy i wprowadza na szerokie pole sporów, których pominąć nie można, jeśli sprawa ma być objaśniona należycie. Rozstajemy się przeto z cennemi pracami Gabryela Campayré'go, zastrzegając sobie możność powrócenia innym razem jeszcze do tego bardzo ciekawego a bardzo może ważnego przedmiotu, który w ostatnich czasach zajął uwagę nietylko pierwszorzędnych pedagogów z fachu, ale znakomitych filozofów, uczonych i polityków. Najbliższa dążność narodów dzisiaj wyraża się w dbałości o losy przyszłych pokoleń. Jak dalece zaś to jest szlachetne znamię czasów i jak ogromną ma doniosłość, tego chyba nikomu objaśniać nie potrzeba. *Pracujemy dla tryumfu przyszłości!*

Adolf Dygasiński.

Badania dziejowe.

Bunt gdański w roku 1525. Przyczynek do historyi reformacyi w Polsce napisał *Antoni Lorkiewicz.* Lwów, 1881 r. 8-a str. XIX, 193.

Pod koniec piętnastego i na początku szesnastego stulecia zamożni gdańszczanie nie skąpili Bogu i sługom jego prezentów i ofiar. Wykończyli wspaniałą Pannie Maryi świątynię z wieżycą, tonącą w błękitach; kościoły stare, pod ciężarem czasu zapadłe w ruinę lub zniszczone przez pożar, odnawiali do gruntu; kamienie węgielne kładli pod nowe. Śród lśniących świeczników i okazałych posągów, przy akompaniamencie dźwięcznych organów nucili pobożne pieśni lub w ciszy kościelnej spowiadali się z grzechów; gorąco wzdychali do nieba i hojnie za odpusty sypali złoto. Gdy w r. 1517 w dziesięciu znaczniejszych miejscowościach pruskich zebrali księża ze sprzedaży indulgencyj 945 grzywien, — sami gdańszczanie złożyli 2,133.

Kiedy nabożność gdańszczan dochodziła do szczytu, duchowieństwo tymczasem niemoralne było i płoche. Z sześciu proboszczów rzadko który zamieszkał w mieście i obowiązki swe pełnił; księża ubożsi rodziny mieszczańskie rozmyślnie waśnili i, jako prekoratorowie duchowni, z zawikłań krzesali korzyść; mnisi podburzali niższe warstwy ludności przeciwko wyższym i na własnych zwierzchników knowali spiski. Na domiar złego eksploatowali gdańszczan księża i zakonnicy wędrowni. W r. 1500 przybył do miasta z sześcioma towarzyszami jakiś ksiądz włoski, w białą odziany siermięgę, z krzyżem na ramieniu, bosy w lecie i w zimie. Pod pozorem propagandy chrystyanizmu śród tatarów i turków, kaptował ludzi, mając zamiar na wschód ich wywieść i zaprzedać w niewolę. Zjawili się bracia świętego Ducha, którzy w kazaniach głosili publicznie, jako każdy dla zbawienia swej duszy zaopatrzyć się winien w ich odpust i pod grozą klątw strasznych najbezczelniej wyłudzali szelągi. Bracia świętego Antoniego tem się różnili od pierwszych, że za indulgencye zamiast pieniędzy przyjmowali i zboże: za każdy szefel otrzymał grzesznik pięć dni odpustu, a nierównie większych doznawał dobrodziejstw, kto peryodycznie zsypywał pszenicę lub żyto. Że ich patron nad bydlętami opiekę rozciągał szczególną, za sztukę nierogacizny gwarantowali trzodom zdrowie i rozkwit. Niedziw, że podobne stosunki dla ludzi trzeźwych i głębszych ciężar stanowiły nieznośny, że nowości religijne wittenberskie w umysłach gdańszczan grunt znajdowały przyjazny, a to tem bardziej, że handel i język dobrym były dla Gdańska łącznikiem z Niemcami.

Już w roku 1518 na jednem z przedmieść gdańskich ksiądz Jakób Knade dowodził, że „każdy w młodości swojej powinien wejść w święty stan małżeński" i sam wkrótce pojął niewiastę; mistrz Michał, który niedawno kościół Panny Maryi upiększył obrazem, wyśmiewał publicznie nakazane przez kościół posty; „kazać sobie w piątki gotować mięso i pozwalając sobie wiele innych sprośności;" pewne bractwo podczas karnawału w r. 1521 urządziło widowisko, na którem papieża, kardynałów, biskupów i wogóle kler cały na jawne wystawiło szyderstwo. Jakób Hegge, zwany Finkenblock lub Kanblock, katolicyzmowi głosił zagładę; w wystąpach swoich oprócz religijnych brał na uwagę i względy społeczne, przez co śród pospólstwa uznanie znalazł gorące i wielkie. Zachęceni przykładem Hegge'go, inni kaznodzieje protestanccy występować poczęli śmielej. Z wyjątkiem listów św. Pawła odrzucali pisma doktorów, których dotychczas czcił kościół; szerzyli broszury Lutra i wpływem swoim ogarniali nawet patryciuszowską radę miejską, nowemu kierunkowi religijnemu z początku niechętną. Zapragnęła przewrotu i ona, chociaż chciała dawne formy zachować dopóty, dopóki oczekiwany sobór powszechny w sprawę nie wejrzy i nie rozwiąże kwestyi w duchu reformy.

Niebawem nieprzewidywana okoliczność rozzuchwaliła pospólstwo i ważne wywołała następstwa. Król Zygmunt I na początku roku 1524 wysłał do Gdańska komisarzy, iżby zapobiegli religijnym i społecznym nowościom. Biskup włocławski, Maciej Drzewicki, pod którego duchowną jurysdykcyą Gdańsk się znajdował, przed przybyciem wyznaczonej przez króla komisyi, niejakiego Pawła Groneralta, kaznodzieję przy kościele świętego Jana, kazał uwięzić i rzucić do lochu. Wielbiciele uwięzionego księdza poczęli się burzyć: w nocy na drzwiach mieszkania Drzewickiego pozawieszali psy nieżywe i koty; rano otwarcie do zbrojnego gotowali się ruchu, kamieniami rzucali w okna i na biskupich napadali z nożami. Wypadek powyższy komisarzy królewskich przekonał, do jakiego stopnia umysły gdańszczan były wzburzone, przez co środków represyjnych zaniechali zupełnie. Ośmielone pospólstwo niekładło już namiętnościom wędzidła i kroczyło coraz to dalej. W sierpniu 1524 roku zebrali przywódcy na cmentarzu świętej Elżbiety wielkie zgromadzenie ludowe i bez poprzedniego porozumienia się z radą na własną rękę rozmaite ogłosili uchwały. Za wpływem Wendlanda, Süchtena i Königa dla pilnowania spraw religijnych wybrano pięciu kaznodziejów, pomiędzy którymi był Hegge; dla interesów świeckich wyznaczono dwunastu rentmistrzów, najwyższe zaś kierownictwo otrzymał Wendland. Rada wobec nowej zwierzchności zachowywała się miękko:

pozwoliła kaznodziejom i rentmistrzom posiedzenia odbywać w ratuszu; zabroniła na ich żądanie zakonnikom miewać kazania i i kosztowności mnichów pozwoliła przenieść do domu burmistrza, zostawiając w klasztorach jedynie sprzęty niezbędne. Istniały przeto jednocześnie dwie władze: stara, legalna, ale pozbawiona znaczenia; nowa, nielegalna, ale *de facto* rządząca wszystkiem. Naturalnie, harmonia pomiędzy niemi istnieć długo nie mogła.

W niedzielę, 22 stycznia 1525 roku, stronnik rady miejskiej, mnich Aleksander, wszedł do kościoła Panny Maryi, by według zwyczaju wygłosić kazanie, gdy zastąpił mu drogę człowiek z pospólstwa, niejaki Eydten, i, pociągnąwszy księdza za habit, zapytał: pan jesteś zakonnikiem, jakiem więc prawem chcesz kazać, skoro wam tego wzbroniono? Rada kazała Eydtena za obrazę Aleksandra uwięzić, przez co śród pospólstwa podniósł się krzyk. Tłumy ludu zgromadziły się w kościele Panny Maryi; po żarliwej przemowie księdza Jakóba, szyper Schultz stanął przed ołtarzem z dobytym mieczem i rzekł: „wszyscy, którzy chcą bronić ewangelii, niechaj się mają na pogotowiu i zgromadzą się na wałach ulicy Szerokiej.“ Rada, przerażona stanowiskiem ludu, postanowiła pachołkami obsadzić ulice i rynek; pospólstwo, obserwując postawę rady, poczęło się zbroić. Obadwa obozy stanęły groźnie. Można się było spodziewać, że bruki miasta w gwałtownem starciu zmyje krew bratnia. Gdy pospólstwo wysadziło bram kilka i wyraźnie zyskiwało przewagę, rada uwolniła najprzód uwięzionych poprzednio niektórych przywódców ludu, następnie upoważniła delegowanych swoich do traktowania z mężami ruchu. Stanęła zgoda. Będzie od tego czasu głoszone czyste i proste słowo boże „wedlug przepisu z woli pospólstwa;“ księża opłacani będą z kasy publicznej; znoszą się posty, wigilie, godziny kanoniczne, świece, woda święcona i t. p. Umarzają się od wypożyczonych sum procenta; znoszą się cła i podatki; na terytoryum miejskiem wolno każdemu polować i łowić ryby. Mnisi wraz z wszetecznicami cierpiani na przyszłość nie będą. Dwunastu mężów z pospólstwa ma stanowić o formie nabożeństwa; oni również z pospólstwem nową obiorą radę. Burmistrzem został Filip Bischoff, w otoczeniu jego zasiedli: Wendland, licencyat „bardzo biegły w prawie,“ Süchten i inni. Postawiono na rynku szubienicę i koło, zawieszono miecz,—jako groźbę dla wszystkich, którzyby dokonane reformy zechcieli wikłać lub łamać.

Wobec rozruchów gdańszczan rząd polski obojętnie zachować się nie mógł. Wyrzucał król Zygmunt w tonie surowym wszystkie ich „zbrodnie,“ rozkazał dawny porządek przywrócić, a szubienicę i koło z rynku usunąć. Gdy gdańszczanie zadośćuczynić rozkazom króla nie chcieli, owszem przez posłów swoich bronili w Krakowie zdziałanego przez się przewrotu, — Zygmunt zuchwałych mieszczan zapozwał najprzód przed sądy, a następnie osobiście w tej sprawie się udał. Podczas bytności monarchy w Gdańsku kilkunastu przywódców ruchu stracono, kaznodziejów luterskich wywieziono z miasta w łańcuchach i dawny porządek przywrócono zupełnie. Przywrócono go przecież na krótko. Katolicyzm przed luteranizmem ustąpił rychło, — rząd polski z nowym stanem rzeczy pogodzić się musiał.

P. Ant. Lorkiewicz, debiutant — o ile wiemy— na historycznej niwie podjął pracę mozolną, lecz wdzięczną. Studyum jego już dla tego samego budzi interes, że przedstawia sprawę ciekawą, a przez pióro polskie w oddzielnej monografii nietkniętą; zajęcie budzi tem większe, że na podstawie bogatych źródeł niemieckich i polskich traktuje autor przedmiot szeroko i umiejętnie. Nie znając większości odnośnych źródeł, nie jesteśmy w stanie orzec, czy i o ile p. Lorkiewicz tak w przedstawieniu faktów, jak i we wnioskach jest ścisłym; uderza nas jednak porządna w pracy metoda i świeżość poglądów. Znać, że p. Lorkiewicz w szkole ćwiczył się dobrej. Rażą przecież deklamacyjne ustępy dość liczne, uderza niestosowna w porównaniach brawura i forma niedbała. W poglądzie na reformacyę w Niemczech dużo uwag jest dobrych. choć wypowiedzianych rozwlekle, a nawet niekiedy chwiejnie. Autor w kościele katolickim widzi „czcigodne mury,“ a na nich „grzyb zgnilizny“ i „pleśni;“ — w poglądzie na tę instytucyę bojaźliwość zdradza, czy też nieszczerość. Ustęp o wielkich ludziach i wielkich czasach lepiej, żeby nie istniał, podobnie jak porównania uznane przez samego autora za „niesmaczne“ (str. 7), a liczne. Brak w przedstawieniu rzeczy męskiego spokoju i dziejopisarskiej powagi p. Lorkiewicz łatwo usunie z czasem i przy pracy wytrwałej w szeregu badaczów zająć może stanowisko poważne.

Wł. Smoleński.

LIBERUM VETO.

Nowiny rozciągane przez cztery konie. — Obraza o *omentrę*. — Odpowiedź Chrystusa. — Dobre mniemanie p. Wł. Mickiewicza. — „Garstka“ i „większość.“— Tolerancya. — Uwagi Milla. — Pretensya kongresowicza literackiego do *Prawdy*. — „Jesteśmy.“ — Zdanie *Czasu*. — Okoński w wydawnictwie p. Sacher-Masocha. —Prawdopodobne rozwiązanie zagadki. — Kasa Mianowskiego i jej prezes. — Do czego prowadzą studya nad „wiadomościami zagranicznemi?“ — Roczny przyrost różnych narodów, a między innymi — warszawskiego. — Dumanie nad poronioną dżumą i szczęśliwie hodującą się szkarlatyną. — Projekt wysyłania ubogich chłopców na wakacye, poparty przykładem militarnego uzdolnienia żydów. — O przyszłej kanalizacyi, teraźniejszych tramwayach, tudzież o komplecie członków zarządu tramwayów, którzy w pewnych godzinach ukazują się ludowi.

Wesoło jednym, boleśnie drugim robić się musiało, gdy cztery dzienniki warszawskie, niby cztery konie z *Kordyana* rozciągały przywiązane do ich ogonów występne ciało *Nowin*. Powodem tej tortury była krzywda papieża Leona XIII, nazwanego przez *Nowiny* w telegramie, za przykładem gazet włoskich, *Leonem Peccim*. Cztery najprawomyślniejsze pisma uznały to za zniewagę ,,wszystkiego, co dla nas jest świętem,“ za zamach ,,garstki“ na uczucia „większości.“ Gdym czytał te oburzenia, przypominała się ciągle skarga owego anegdotycznego chłopka, który mówił przed sądem: „Złodzieja mu daruję, ale tego, że mnie nazwał *omentrą*— nigdy.“ Bo gdzież tkwi jakakolwiek obraza dla papieża w nazwaniu go Leonem Peccim? Alboż nie jest Leonem, i nie jest Peccim? Ominięto tytuł — prawda. Ale czyż go nie omijamy, mówiąc o Hohenzollernach, Bonapartych, Borgiach? Nadto, czyż podobna, ażeby nasi ortodoksi nie wiedzieli, że Joachim Pecci o tyle tylko jest Leonem XIII, o ile jest władcą świeckim; że z utratą tej władzy utracił prawo do monarszej tytulacyi? Gdyby tłomaczowi telegramów w *Nowinach* powiedziano: człowieku, narażasz czytelników na niezrozumienie wiadomości twego pisma, bo ktoś nieznający nazwiska papieża może nie domyśleć się, że o nim mówisz— podpisałbym tę przestrogę w zupełności. Ale gdy trąby prawowierne zagrzmiały na gwałt za znieważenie „wszystkiego co święte,“ pytałem w duchu: Chrystusie, po co uczyłeś, cierpiałeś, umarłeś na krzyżu, jeśli apostołowie twej nauki jeszcze dziś w nazwaniu biskupa rzymskiego jego rodzinnem imieniem widzą zbrodnię? Jestem też przekonany, że gdyby współpracownicy *Wieku*, *Echa* i t. d. złapali bluźniercę *Nowin* i przyprowadzili przed mistrza nazarejskiego, ten by im odpowiedział:

„Obłudnicy! dobrze o was prorokował Izajasz, mówiąc:

Lud ten przybliża się do mnie usty swemi i wargami czci mię, ale serce ich daleko jest ode mnie.“

Owa eksplozya prawowierności nastąpiła akurat w chwili, gdy p. Wł. Mickiewicz na kongresie literackim i w *Kuryerze Warszawskim* dowodził, że nam obcą jest zarówno ortodoksya polityczna, jak religijna, którą grzeszą inne narody. My, a raczej nasi tak zwani przedstawiciele ,,większości“ posiadają dwa wielkie przymioty: są nietylko ciemni, ale nadto dumni ze swej wyjątkowej w Europie jasności. Gdybym najgłupszemu włochowi powiedział, że u nas są świeckie dzienniki, upatrujące zniewagę ,,wszystkiego co święte“ w nazwaniu papieża Leonem Peccim, odrzekłby mi niezawodnie: daruj pan, ale to nie jest ani *vero*, ani *ben trovato*. A jednakże dzienniki te są przekonane, że broniąc tego rodzaju krzywdy, bronią podstaw cywilizacyi chrześciańskiej i polskiej. O, zaiste lepiejby p. Wł. Mickiewicz zrobił, lecząc nas z wyjątkowego klerykalizmu, niż wysławiając naszą wyjątkową tolerancyę. Zmarniała u nas ta cnota, nie umiemy się dziś wznieść nawet do wolnomyślności naszych przodków z XVI w., wyglądamy jak parobki jednej wielkiej plebanii. My strzeżemy tolerancyi! A czy panowie z ,,większości“ wiedzą, co to za rarog? Jest to takrozwiązła bogini, że ustami Milla żąda, ażeby społeczeństwo uszanowało nawet zdanie jednego człowieka, odmienne od opinii ogółu. To też jestem pewien, że gdyby którykolwiek z naszych żuawów papieskich, noszących na piersiach szkaplerz tolerancyi, poznał jej zasady, uczułby straszne drżenie w łydkach swego ducha. A jednakże i oni jej zawdzięczają racyę bytu na ziemi. „Nikt nie może być wielkim myślicielem — powiada Mill — kto nie dotrze do tej prawdy, że pierwszą jego powinnością jest iść za swym umysłem, bez względu na to, do jakich wyników on go zaprowadzi... Wszędzie, gdzie panuje milcząca konwencya, powstrzymująca swobodną dyskusyę nad zasadami, gdzie istnieje mniemanie, że rozbiór najważniejszych przedmiotów, mogących zająć ludzkość, jest już zamknięty, nie możemy się spodziewać, ażebyśmy znaleźli ów ogólny wysoki nastrój ruchliwości umysłowej, która odznaczyła tyle okresów historyi.“ No, chyba nastrój ruchliwości umysłowej u nas nie wzniósł się wysoko, zwłaszcza śród ,,większości.“ A co to jest owa ,,większość?“ Jest to grono pism, których redaktorowie w odróżnieniu od innych podają wiadomości o odpustach, chwalą wszystkich zmarłych, krzyczą na zjazdach literackich: ,,jesteśmy, co już wiele znaczy,“ ,,miłują—jak powiada św. Mateusz — pierwsze miejsca na wieczerzach i pierwsze stołki w bóżnicach.“ To im daje prawo do reprezentowania ,,większości“ w przeciwstawieniu do „garstki.“

Jeden z historyków literackiego kongresu w Wiedniu uszczypał *Prawdę* za to, że nie uszanowała na nim owego ,,jesteśmy“ deputatów warszawskich, wyraziwszy jednocześnie uznanie dla zjazdu geograficznego w Wenecyi. Co za sprzeczność! Chwalić obrady badaczów, pracujących dla nauki, a ganić wesołą wrześniówkę literatów, zabezpieczających po raz czwarty własność autorską i umiejących krzyczeć ,,jesteśmy, co — według nich — ,,wiele znaczy.“ Czy tylko istotnie wiele! Mnie się zdaje, znaczy to bardzo mało. Że my ,,jesteśmy,“ wiedzą i wiedzieć będą o tem wszyscy, chociażby przedstawiciele większości warszawskiej nie jeździli na kongresy literackie. A nieszczęście przytem, że dzięki owym wycieczkom ludzie zagraniczni dowiedzą się, *jacy* my jesteśmy. Zresztą, czyż tylko my

,,garstka" nie oślepliśmy od promieni głów warszawskich, obradujących nad opodatkowaniem swej literatury w Wiedniu? Przecież sam rabin ,,większości," *Czas* krakowski powiada: ,,W ogóle kongres nie przedstawiał się w świetle nazbyt różowem, a całe stowarzyszenie jest wymysłem ex-komunisty Lerminy, który w braku talentu, wytworzył sobie synekurę. On łącznie z panem Ulbach'em, dawnym naczelnym redaktorem dziennika *La Cloche*, inscenuje całą rzecz. Obadwaj ci panowie dziś cieszą się protekcyą pana Juliusza Ferrego, który niegdyś w ich dzienniczku coś tam pisał. Że galicyanie nie brali udziału w kongresie, to naturalne, skoro gospodarzem uroczystości była ,,Concordia," największy wróg interesów polskich w Austryi; że Kraszewski przyjechał, dobrze zrobił, bo zajmował pierwsze miejsce w kongresie, a stąd poznało go wielu, na czem polska sława tylko zyskać może; Warszawa też prezentowała się nieźle, przynajmniej ilościowo. Wogóle biorąc, oprócz poznania między sobą literatów różnej narodowości, kongres nietylko dla nas nie przedstawia interesu dodatniego, ale przeciwnie ujemny." Co jest najpyszniejszego w tym obrazku krakowskiego pędzelka, to oświetlenie głównego bohatera, ex-komunisty, korespondenta „większości" —p. Lerminy.

Być może, iż jednemu z takich kongresów W. Okoński zawdzięcza swą obecność na liście autorów, którzy p. Sacher-Masochowi przyrzekli udział w wydawnictwie *Auf der Höhe*, mającem połączyć różne ludy. Ponieważ nietylko W. Okoński nie podjął tej roli, ale nawet Sacher-Masoch mu jej nie ofiarował, zachodzi więc pytanie, jakim sposobem podobne nadużycie cudzego imienia powstać mogło? Wyznaję, że żadnej pracy p. Sacher-Masocha nie czytałem, wierzę tylko na kredyt powszechnej opinii, że jest on potwarcą polaków i urwisem literackim; ale chociażbym go odarł ze wszystkich cnót, nie mogę pojąć jego upodobania do pisarza polskiego, który w literaturze niemieckiej wcale znanym nie jest. Przecież mamy tylu znakomitych powieścio- i komedyopisarzów, których utwory przełożono na język niemiecki; skądże więc powód kradzenia skromnego nazwiska W. Okońskiego? Zagadki tej nie mogę inaczej rozwiązać tylko przypuszczeniem, że je ktoś z braci po piórze p. Sacher-Masochowi podarował. Jest to jedna z tych naszych uczciwostek literackich, których ,,garstka" doświadczyła już wiele od ,,większości." Skutkiem tego wypadku jadę na przyszły kongres literacki, na którym zrzeknę się praw własności autorskiej w zamian za bezpieczeństwo od złodziejów mego nazwiska.

Nareszcie kasa imienia Mianowskiego została zatwierdzona i pozyskała zarząd pod naczelnem kierownictwem genialnego lekarza i przezacnego obywatela kraju T. Chałubińskiego, jako prezesa. Prawdziwą radość sprawia nam, że na czele tej pięknej instytucyi postawiono najwspanialszą postać z grona wychowańców Mianowskiego, jednego z tych ludzi, przeciwko uczczeniu których nikt nigdy nie zakłada *liberum veto*.

Chcąc zaczerpnąć światła tam, gdzie jest go więcej niż u nas, przeglądałem w naszych dziennikach rubrykę „wiadomości zagranicznych." Przedewszystkiem więc znalazłem nieco spóźnioną wzmiankę o czterech kometach, które istotnie należą do wyrobów bardzo zagranicznych, ale dla konsumcyi krajowej wcale nieprzydatnych. Potem natrafiłem na „wieloryba, którego rozpłatał, okręt," lecz ponieważ tryumfy *Gazety Handlowej* stanowią własność dziejów ojczystych, więc odłożyłem to na później. Następnie dowiedziałem się, że zagranicą, jest taki dziwny merkuryusz, który—bieli złoto, co napełniło mnie sprawiedliwem uczuciem dumy, jako fakt, stwierdzający doświadczenia robione przezemnie jeszcze w pierwszej klasie, a jak się przekonałem, nieznane dotychczas zagranicznemu światu.

Nareszcie trafiłem na cyfry, wprawdzie statystyczne, lecz podane bez żadnych komentarzy. Cyfry te opiewają, że: od roku 1871 do 1880 — niemcy z 41 milionów ludności podskoczyli do 45, duńczycy z 1,780,000 do 1,980,000, francuzi od 36,500,000 do 36,900,000 i t. d.

Postawiłem się na stanowisku przeciętnego czytelnika naszych gazet, który obowiązany jest odgadywać myśli w artykułach ukrytei — nie mogłem zrozumieć: w jakim celu ogłoszoną została ta niewątpliwie interesująca wiadomość zagraniczna?... Wnet jednak zadałem sobie pytanie: czy dziennikarze nasi nie pisują czasami wiadomości zagranicznych wyłącznie dla filozofów?

Tak jest. Powyższe bowiem cyfry dostarczają materyału do filozoficznych dociekań.

To, co nazywamy narodowością, nie jest bynajmniej (jak sądzą niektórzy) prostem zbiegowiskiem ludzi, ale raczej — „odmianą" rodzaju ludzkiego. Każda z tych odmian nietylko inaczej jada, bawi się, pracuje, czego innego chce, o czem innem myśli, ale nawet — rodzi się inaczej.

W tem miejscu zastrzegam się przeciw wyłącznie krajowemu pojmowaniu zagranicznej idei: ruchu ludności. Narodowości rodzą się każda „inaczej," nie w tym krajowym sensie, ażeby naprzykład niemcy wyskakiwali — z przeproszeniem — z głowy Jowisza, ale w ten zagraniczny sposób, że: każda narodowość, uważana w dłuższym okresie czasu, cieszy się innym procentem przyrostu ludności.

I tak, między latami 1871 i 1880 przybywało co roku: niemcom prawie 11 nowych obywateli na każdy tysiąc ludności, duńczykom 10, norwegczykom 6, francuzom tylko 3, a węgrom tylko — jeden. Z czego widzimy, że płeć piękna cesarstwa niemieckiego nie powinnaby skarżyć się na rozwijający muskuły systemat ks. Bismarcka; że patryotyzm duński na drodze pokojowych usiłowań łata szczerby zadane ich państwu przez najazd w r. 1864; że norwegczycy pomimo obfitości rybiego tranu nie pokazują nic nadzwyczajnego; że francuzów nie zrobiła republika pochopniejszymi do spraw małżeńskich niż cesarstwo; i że nareszcie węgrów ani honwedy, ani bardzo obcisłe spodnie, ani nawet uszyta na wyrost konstytucya nie chroni od złowrogiego znikania rasy!..

Tak wielkie różnice rocznego przyrostu u rozmaitych plemion, nasuwają na myśl podobnez zjawisko u różnych gatunków zwierząt, czego ilustracyą jest naprzykład płodność kur i kotów w porównaniu z orlami, albo lwami—co znowu zdaje się wskazywać, że wrodzaju ludzkim narodowości są tak między sobą różne, jak gatunki w świecie zwierzęcym. Naturalnie, pod pewnymi tylko względami.

Gdyby wielka płodność cechowała gatunki pośledniejsze, a mała — szlachetniejsze, rzadsze, to nasz „warszawski gatunek," przynajmniej chwilowo, należałby do największych osobliwości, jakie piastuje ziemia. U nas bowiem pomiędzy 17 i 24 września r. b. nietylko przyrost ludności był *żaden*, ale nawet — *ujemny*: w tym bowiem czasie mieliśmy więcej o 58 zmarłych niż urodzonych, a śmiertelność w stosunku rocznym dosięgła cyfry 41 na tysiąc!...

Jesteśmy więc, na dziś, podobni do tych dziwnych i rzadkich zwierząt, które nikną z powierzchni ziemi. I gdyby rzeczy dalej poszły w tym kierunku, wówczas za paręset lat jakiś kustosz zoologicznego gabinetu okazywałby zwiedzającym następne osobliwości:

„Oto jest szkielet azyatyckiego słonia... Oto głowa żubra z białowiejskiej puszczy, a oto — wypchany polak warszawski, który jeszcze przy schyłku XIX-go wieku, oczekiwał na kanalizacyę i miał nadzieję jeździć tramwayami, jak zapewnia ówczesne źródło dziejowe, kuryerem zwane."

To pełne widoków stanowisko zawdzięczamy: szkarlatynie i dyfterytowi, które co tydzień zabierają po 63, zapewne niepotrzebnych miastu obywateli.

Kiedy przed paroma laty pojawiła się dżuma aż w Wietlance, w Warszawie zatykano nosy na widok rogóżek, jadano kawior tylko przy zamkniętych drzwiach, w ratuszu zaś naradzał się anty-dżumowy komitet. Dziś wobec grasującej w mieście szkarlatyny nikt się nie naradza i — nawet nikt nie myśli o środkach zapobiegających przenoszeniu i utrwaleniu zarazy... Takie zachowanie się ojców miasta wobec bliskiej szkarlatyny i dalekiej dżumy, przypomina gospodarza lichego hotelu, który na widok mijającej go karety wybiegał aż na ulicę z czapką w ręku, ale gości zajeżdżających do niego tylko kałamaszkami traktował przez ramię. Za to spotkało go bankructwo, co też mam honor podać do publicznej wiadomości.

Trudno zresztą zaprzeczyć, że w posępnym tumanie warszawskich stosunków higienicznych, od czasu do czasu błyskają światełka — przynajmniej dobrych chęci. Do takich należy, podniesiona przez d-ra Markiewicza i *Kuryer warszawski* myśl: „letnich kolonii dla ubogich dzieci."

Długi ten i niezbyt wyraźny tytuł zasłania rzecz o tyle prostą, o ile pożądaną. Znajdują się w Warszawie dzieci, które, pomimo wytężonej pracy umysłowej w miesiącach szkolnych, nie znają wakacyi w miesiącach letnich. Przez 46 tygodni dzieci te psuły sobie wzrok, wykrzywiały kręgosłup, zwężały klatkę piersiową, truły się złem powietrzem po to, ażeby przepędzić w mieście sześć wakacyjnych tygodni, podczas których liczba zmarłych przewyższa liczbę urodzonych.

Wprawdzie mniej wtedy pracują nad książką, ale za to lepiej nasiąkają kurzem i zaraźliwymi miazmatami. Niektóre z nich, popychane przez instynkt młodości, wybiegają niekiedy za miasto; ale tam obok niezbędnego kurzu, znajdują jeszcze zupełny brak dozoru. Skutkiem tego, jeden spada z gimnastycznych rusztowań i łamie rękę, drugiego rozbujana huśtawka uderza w kark lub głowę, trzeci tonie dla tego, że nie umiał kierować czółnem, a czwarty — dla tego, że chciał się wykąpać...

Słowem, wakacye, na które ubogie dzieci skazane są w mieście, nie dają im ani zapasu zdrowia, ani osobliwej rozrywki, ani wielkiego bezpieczeństwa.

Wziąwszy te rzeczy pod uwagę, radzi dr. Markiewicz Warszawie, ażeby naśladowała Frankfurt, który każdego lata wysyła po kilkudziesięciu i więcej chłopców na wakacye, na wieś, pod dozorem nauczycieli. Oblicza wkońcu, że wyprawienie na miesiąc stu chłopców i sześciu nauczycieli kosztowałoby około 3,000 rs. i radzi, ażeby miasto już dziś zajęło się gromadzeniem odpowiednich funduszów.

Społeczna doniosłość tego projektu jest tak wyraźna, że nawet nie widzimy potrzeby akcentować go silniej. Tylko dla uzupełnienia obrazu: jak fatalny wpływ wywiera na ludzi życie spędzone bez ruchu, wśród ciasnoty i brudów — dodamy jeden szczegół.

Wiadomo, że wczasie poboru do wojska, na ludność żydowską zawsze przypadał ogromny procent braków. Ponieważ wzjawisku tem podejrzywano malwersacye, więc zostały obostrzone przepisy, dzięki czemu większa niż kiedykolwiek ilość żydów zamieniła pokojową jarmułkę na wojenną pikelhaubę.

Lecz cóż się pokazało? Oto — na tegorocznych manewrach w guberni wołyńskiej, czy podolskiej, jakiś korpus, obficiej niż inne zaopatrzony w wojowników według starego zakonu, szkaradnym sposobem zawiódł nadzieje dowódcy. „Żydzi — mówią z tego powodu rosyjskie gazety — są nierozwinięci pod względem muskularnym, źle przenoszą wojskowe trudy, przy każdej sposobności uchylają się od służby na froncie, ale natomiast dostarczają największy procent zmęczonych i chorych."

Kiedyś widziałem książkę noszącą groźny tytuł: *O zawojowaniu świata przez żydów*, pisaną przez zawnecę, bo przez jakiegoś Lejzora—baszę, czy coś w tym guście. Nie czytałem owej książki, ale zdaje mi się, że zapowiedziany tam podbój świata przez żydów nie dokona się chyba na drodze operacyi militarnych!

Swoją drogą, jeżeli nasze domowe wychowanie polskich dzieci pójdzie dotychczasowym, żydowskim trybem; jeżeli gimnastyka będzie i nadal uważać się za „niemieckie nowatorstwo," a pływanie i ślizganie się dziewcząt za „objawy pozytywizmu i bezwyznaniowości," wówczas, po upływie kilku pokoleń, nasza młodzież bez obawy skompromitowania się będzie mogła stanąć w rezerwie owej żydowskiej armii, idącej na zawojowanie świata. Na dowód zaś — proszę rozejrzeć się między młodą i młodszą generacyą...

Obok projektu dr. Markiewicza, który chce podźwignąć zdrowie ubogiej młodzieży, cieszymy się obecnie nadzieją kanalizacyi, która powinnaby zmniejszyć straszną dziś śmiertelność miasta. Roboty około budowy głównego kanału mają się zacząć na wiosnę, pod dozorem komitetu obywateli, co stanowi jedną więcej zasługę obecnego prezydenta p. Starynkiewicza. Dawniej trzymano się w podobnych kwestyach innej zasady, mianowicie tej, że wszelkie miejskie budowle, wznoszone na koszt i dla pożytku miasta, najmniej obchodzić powinny jego obywateli. To też sama myśl o jakimś komitecie nadzorczym uważana była za akt nieprzyzwoitości.

Pomimo jednak obywatelskiego komitetu i owej „wiosny," która u nas od niepamiętnych czasów bywała terminem różnego rodzaju ulepszeń, nie możemy jakoś pogodzić się z myślą, ażeby nasze pokolenie naprawdę doczekało się kanalizacyi i jej błogosławionych skutków. Kto wie, czy nie sądzono nam, ażebyśmy jak Mojżesz ziemię obiecaną, widzieli kanalizacyę tylko ze szczytu naszych dziennikarskich informacyi...

Ten grzeszny brak nadziei daje się jednak wytłomaczyć. Naprzód tem, żeśmy już sporo „wiosen" oczekiwali nadaremnie, co nas w końcu znudziło; powtóre tem, że nad naszemi publicznemi robotami ciąży jakaś klątwa.

Weźmy naprzykład tramwaye. Układanie szyn szło prędko, same szyny leżą znakomicie, towarzystwo zapowiada rychłą budowę dalszych gałęzi, pospolitym omnibusom wskazano nowe kierunki, dorożkarze z desperacyi tratują coraz większą liczbę osób na ulicach. Co więcej, jeżeli wierzyć kuryerom, (a któżby im nie wierzył!) codzień o pewnej godzinie ukazuje się ludowi jednokonny wagon, a w nim — komplet zarządu tramwayów, który bez dumy ale i bez fałszywej skromności dowodzi światu, że jego członkowie posiadają wszystkie warunki do siedzenia na ławkach.

Ale i cóż z tego, kiedy najwięcej zainteresowana tramwayami publiczność podziwia te cuda — piechotą?...

Publiczność wobec żłobkowanych szyn, wagonów, zarządu, przygotowań, obietnic i zaprzeczeń, podobna jest do chorego, któremu zalecono prysznic.

— Strzeż się pan — mówi mu lekarz— iść odrazu pod zimny strumień. Trzeba robić tak. Naprzód — woda ciepła, prawda, że miła?... Potem letnia... Teraz idź pan pod zimniejszą... Prawda jak orzeźwia?.., Teraz pod bardzo zimną... A teraz pod zimną jak lód...

— Gwałtu! — krzyczy chory.

— Wybornie. Teraz tylko wytrzyj się pan grubem prześcieradłem, a za skutek ręczę.

Siny i szczękający zębami pacyent czuje gwałtowną potrzebę wytarcia się, ale... niema pod ręką prześcieradła... Publiczność także czuje gwałtowną ochotę do korzystania z tyle razy wymienionych dobrodziejstw tramwayów, ale... jeszcze kursa nie otwarte!..,

Bądźmy jednak cierpliwi i oceniajmy dobre chęci. Spacerujący dziś po ulicach komplet zarządu nie robi tego dla czczej sławy. Chce on widocznie, ze względu na nadchodzącą zimę — wygrzać miejsca, nie roszcząc sobie za to pretensyi do żadnej innej nagrody nad uczucie spełnionych obowiązków.

Zastępca.

W PERSPEKTYWIE.

Roczny bilans pożarów jednej guberni. — Brak szkół. — Wieść gazet rosyjskich. — Protestanci Dąbia. — Memoryał p. Polakowa jako wzór dla naszych żydów. — Pamiątki po nieobecnych. — Dramat pod Chełmem. — Nowe pisma prowincyonalne. — Częstochowa.

Uwolnij mnie czytelniku od wymieniania ostatnich pożarów, którym ani deszcze jesienne, ani poświęcone straże ochotnicze zapobiedz nie mogły. Jeżeli zaś ciekawy jesteś, jak się te nasze dobrodziejstwa przedstawiają w cyfrach ogólnych, to posłuchaj bilansu gubernii kaliskiej. W roku zeszłym nawiedziło ją tylko 291 pożarów, które zniszczyły tylko 756 zabudowań, wartości około 376,838 rs. Kosztowna iluminacya! Gdy spłonął w Pradze teatr, kosztujący milion guldenów, pół Europy zapłakało na tą stratą. Nam palą się corocznie ze dwa takie teatry, i nawet my nie płaczemy nad sobą...

A jednakże owe setki tysięcy rubli przydałyby się tejże samej gubernii kaliskiej na oświatę. Jak przekonywa organ miejscowy, prowincya nie ma porządnych szkółek, Kalisz zaś wystarczających ilości młodzieży gimnazyów.

Dwaj mężowie z Dąbia wymyślili dowcipny na to sposób, mianowicie zrzekli się dobrowolnie prawa oświaty dla kobiet tego miasta. Gdy grono obywateli wystąpiło do władzy z podaniem o pozwolenie otwarcia szkoły żeńskiej, przeznaczając na ten cel zebranych składkowo 301 rs. i 30 rs. rocznie zapomogi z kasy miejskiej, dwaj *protestanci* podali inną prośbę, w której oświadczyli się przeciwko temu zbytkowi. Taka złota szczerość warta jest szacunku; objawiłaby się ona niezawodnie wielkiem w dwu zacnych dąbianach uznaniem, gdyby miasto zapragnęło ufundować sobie nową bawaryę...

Żadnego zato protestu nie możemy zanotować w naszej sferze żydowskiej. Ponieważ w Cesarstwie żydów rozbijano, więc p. Polakow przesłał do ministeryum memoryał, w którym prosi o przymusowe ucywilizowanie swych współwyznawców. Na wypadek iż może którejkolwiek gminie polsko-żydowskiej przyjdzie myśl urządzenia piorunochronów na swym dachu i oczyszczenia swej sadzawki z barbarzyńskiego mułu, przytaczam wymagania p. Polakowa względem Cesarstwa. I tak pragnie on, ażeby żydom dozwolony był pobyt w całem państwie, ażeby zniesiono chedery, zakładano wspólne szkoły, usunięto specyalnie żydowskie podatki, obciążające ludność biedniejszą—słowem zburzono całą ruderę dotychczasowej separacyi. Niech nasi przewodnicy gmin starozakonnych odczytają sobie uważnie ten memoryał, niech go przełożą na język potrzeb miejscowych i... Po co rzucać groch na ścianę? Tyle razy już wykazywała *Prawda* gminie warszawskiej konieczność podjęcia inicyatywy na tej drodze, że ledwie warto tracić słowa, które głuchych uszu przebić nie zdołają. Jeżeli zaś żydzi warszawscy są tak bezczynni w przyspieszaniu przymusowej oświaty swych współwyznawców, to czego żądać od prowincyonalnych! A jednakże taki przykład stolicy wydaje się na pozór możliwy. Tyle przecie wśród inteligentnych izraelitów Warszawy jest ludzi światłych, energicznych, duchem obywatelstwa przejętych!

Znowu nadbiegły z prowincyi wieści (przed któremi *Niwa* drzwi zamyka) o sprzedażach majątków w obce ręce. Mimo ustawicznej kanonizacyi w prasie, większa własność popisuje się coraz lepiej. Nie chce rozłamywać się na drobne cząstki w ręku włościan—z dumy, a sprzedaje się niemcom — z patryotyzmu. Tym sposobem zastęp „nieobecnych" pomnaża się coraz lepiej. Nie bolałoby nas ich znikanie, gdyby nie zostawiali po sobie, na pamiątkę obywatelskich dla kraju zasług, obcego nawozu.

Mimo slinienia i podklejania, stosunki między dworem a chatą zlepić się nie mogą a często rozrywają się w sposób bolesny, Smutny wypadek okrwawił znowu kronikę prowincyonalną pod Chełmem. Między właścicielem majątku a włościanami od lat kilku toczył się spór o kilkomorgowy kawałek gruntu pod lasem, leżący obok pastwiska gromadzkiego. Spór ten w roku bieżącym przybrał szersze rozmiary. Kobiety ze wsi postanowiły nie dać bronować owego pola, fornale upierali się przy rozkazie wydanym im przez dziedzica, stąd powstał hałas i bójka.

Hałas usłyszał właściciel wsi, polujący w pobliżu i udał się na miejsce wypadku, gdzie go powitano kamieniami. W obronie własnego życia wystrzelił z dubeltówki i raniljedną z napadających na niego kobiet. Wtedy zaczajeni włościanie wpadli na niego z kijami i pałkami i byliby go zabili, gdyby nie pomoc znajdujących się na polowaniu sąsiadów. W czasie utarczki jedna z kobiet padła na miejscu skutkiem strzału od uderzenia kijem w kurek. Dwie inne ranione. Wobec takich nieszczęsnych faktów pozostaje tylko załamać ręce i czekać chwili, kiedy odgraniczona ziemia nie będzie kością niezgody, przy której obywatel z chłopem zagryzają się wzajemnie.

W Łomży, Częstochowie, a nawet podobno po raz drugi w Radomiu klują się projekty założenia organów miejscowych. Pobożne te życzenia dziwią nas tylko w... Częstochowie. Niedaleko przecie Piotrków posiada swe pismo, które może zadowolnić potrzeby częstochowian, tembardziej, że ci nie grzeszą zbytnim zapałem do czytania i najchętniej zużywają miejscową literaturę straganów. A i pątnicy Jasnej Góry czytelników nowej gazecie nie dostarczą. Zresztą nie rzucamy nikomu kija pod nogi, zwłaszcza gdy chce iść po drodze postępu. W takim razie niech Częstochowa zapali swoje własne dziennikarskie światełko.

A. M.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 14 października.

W arytmetyce politycznej istnieją, jak wiadomo, wszystkie cztery działania: gdy

nie można komuś odjąć, a sobie dodać lub pomnożyć, trzeba się z innymi podzielić. Ta ostatnia właśnie operacya, zalecona przez *Times* na ciele Turcyi, stała się przedmiotem głównych rozpraw w prasie europejskiej. Ci, którym dziennik angielski coś zaofiarował, upomnieli go za tę niegrzeczność skromnie; ci zaś, którym nic nie dał, oburzyli się strasznie. Ponieważ *Times* nie należy do gazet, które opowiadają Europie swoje sny, lecz służy za telefon angielskim mężom stanu, propozycya jego tworzy zagadkę: czy Anglia ma istotnie chęć odkrajania sobie skibki z tureckiego bochenka, czy też widząc, że inni potajemnie noże ostrzą, zwraca na nich uwagę. Zdaje się, że oba przypuszczenia są prawdopodobne. Korespondenci *Timesa*, którzy rzucili w świat tę bombę, przedewszystkiem odsłonili maskę Austryi, twierdząc uparcie, że ona po cichu przygotowuje się do przyorania sobie nowych zagonów z gruntu Turcyi. Naprzód — myślą lub mówią politycy angielscy — niech Europa wie o tem skradaniu się lisa pod kurnik, a następnie, jeśli lisy mają dusić kury, my nie będziemy patrzyli obojętnie na te łowy, lecz także udusimy cóś dla siebie. Co? Egipt. Rozniecony w tym kraju, może ręką John Bulla, a dotąd nieugaszony pożar daje dobrą sposobność do pospieszenia z sikawkami, do czego pancerniki stoją w pogotowiu; zdobycze Francyi w Tunisie zapewniają Anglii tolerancyę i możliwość zgody; inne mocarstwa poodłamują sobie kąski tureckie w Europie i Azyi — *business* więc ma warunki powodzenia, aby tylko nie przespać pory. Sens zaś moralny całego tego dziennikarskiego turkotu o nowy podział Turcyi taki: chorego człowieka rozebrać, położyć i leczyć trzeba. Idzie tylko o zgodę konsylium i o przepisanie takiej recepty, od której by chory nagle nie umarł, ale i nie wyzdrowiał.

Na rachunek tej kuracyi Francya bez protestu rywalki zajęła Tunis. Prowadzona przez nią wojna w Afryce toczy się leniwie, nieudolnie i kosztownie, ale ostatecznyj ej wypadek wątpliwości ulegać nie może. Głupie kacyki afrykańskie prędzej czy później na francuskim łańcuchu staną. W obawie surowej nagany od nowo obranej Izby, przed którą skłopotani ministrowie nie chcę się pokazać, armia czyni widocznie wszelkie wysiłki, ażeby mogli ułagodzić gniew deputatów jakimś jej tryumfem. Pierwotnie proponowano, ażeby dotychczasowe ministerium zlikwidowało się i przekazało Gambecie, jako syndykowi upadłości gabinetu Ferrego, załatwienie sprawy tego bankructwa przed sądem Izby. Ale Gambetta zbyt jest przezornym... adwokatem, ażeby chciał na swych barkach ponieść tak wielki ciężar, nawet cudzych passywów. Dotychczasowe przeto ministeryum musi samo stanąć przy konfesyonale Izby i wyspowiadać się ze swych grzechów. Czy armia walcząca w Afryce zdąży mu wyjednać rozgrzeszenie?

Polityczne jajko, z którego wyląż się miał nowy rozbiór Turcyi, zostało niemile oziębione nagłą śmiercią barona Haymerlego, austryackiego ministra spraw zagranicznych. Niewiadomo bowiem, kto jego miejsce zajmie i czy do dzielenia okaże się skłonnym. Może w tym niespodziewanym zawodzie prasa angielska czerpie łzy, któremi opłakuje śmierć „nieodżałowanego“ nieboszczyka. Bezinteresowni nie żegnają go ani naganą, ani pochwałą. Był to człowiek bez wybitnych zdolności, gładka, obojętna figura, posłuszna skinieniom ukrytego reżysera, który nią poruszał. To też szale polityki europejskiej jego braku nie odczują.

Zamkniemy dzisiejszy tydzień polityczny echem intrygi, zajmującej prasę francuską. Gambetta gdzieś zginął. Dla odszukania go, puszczono nawet pogłoskę, że pojechał do Warcina. Ale i ten środek nie pomógł — Gambetta nie odezwał się dotąd z ukrycia — kuku! Wesoła ślepa babka!...

JESZCZE WÓŁ PYTAGORASA I PRAWDA.

Do odpowiedzi, jaką już mieści w sobie arytkuł, winienem dodać tylko jeszcze słów kilka. Pan W. zawiele myśli o mej osobie, a za mało o treści rozbieranej pracy. Pewnie tylko dzięki tej okoliczności p. W. zdołał wyrachować szczegółowo ilość czasu przepędzonego przezemnie w Paryżu i w Londynie, a nie dostrzegł tej kilka razy powtarzanej przezemnie myśli, że towarzystwa prywatne mające na celu ubezpieczenie rozchodów nie są bynajmniej rzeczą nową. Oto dosłowna cytata z mego artykułu (*Prawda* Nr 31 str. 370, wierz 11 i następne).

W nowszych jednak czasach powstało o ile mi wiadomo kilka drobnych towarzystw, działających na podstawie składanych procentów etc. etc.

Nieco dalej: „Trudno. Młot w ręku dziecka pokona je swym ciężarem (mowa o słabym rozwoju prywatnych towarzystw). W rękach męża tworzy cuda Wielka idea składanych procentów potrzebuje dla swej realizacyi takiej tylko potęgi, jaką jest państwo.“

W innem miejscu (wiersz 28).

Zresztą rzecz ta nikogo nowością swoją nie przestraszy. O jej podstawie wiedzą wszyscy, choć nie zastosowano jej jeszcze nigdy w tej formie (Banku Państwowego). Także Nr. 30 str. 351 wiersz 46 etc.

Czego tedy chciał p. W.? Dowieść, że istnieją prywatne banki działające na tejże podstawie. Ależ o tem wyraźnie w swej pracy mówiłem. Że myśl moja w zasadzie nie jest nową? Toż że w artykule wyraźnie powiadam, *że o niej wiedzą wszyscy*. Pocóż tedy p. W. sprowadził taką maszynę parową dla zagotowania szklanki z... wodą, kupę wybranych z trzeciej ręki cytat, dla dowiedzenia tego, o czem nikt nigdy nie wątpił?

Więc? Zasługą moją jest tylko zastosowanie znanej wszystkim siły do formy jedynie możliwej. Jest to coś w rodzaju zastosowania znanej siły elektryczności w formie jakiegoś nowego przyrządu.

Śmiesznością jest zarzucać w takim razie wynalazcy, że niezależnie od przyrządu nie wynalazł i samej siły elektryczności, czy też zasadniczych środków jej stosowania. Dwa razy prochu nie wynajdywano.

Celem mej pracy było: zrobienie z przedmiotu spekulacyi rzecz ogólną, z rzeczy prywatnej — państwową. Chodziło mi o dowiedzenie, że to, co jest niczem w rękach prywatnych, będzie ogromną potęgą w rękach państwa. Starałem się nakoniec nakreślić sposoby urzeczywistnienia tej idei przez władzę państwową, wykazać podstawy, możność i nakoniec warunki niechybnego powodzenia.

Według p. W. — zetknąłem się w kilku punktach co do projektowanego sposobu działalności Banku Państwa z reklamą jednej z prywatnych instytucyi. Pan W. robi w tym celu wyżej drukowane zestawienia, które najlepiej przekonywają o nieudolności czy też niesumienności w jego dowodzeniu — ale bynajmniej nie o tem czego dowieść pragnął. W dodatku — obyczajem praktykowanym — należało przytoczyć w *tekście* mniemane podobieństwa. W tej formie, w jakiej to robi p. W., robi niesumiennie. W dodatku czemu autor zestawiwszy tylko niektóre artykuły pomija milczeniem 9/10 tych, które z ustawą *żadnego* z banków prywatnych *związku ani podobieństwa nie mają*. Istniejące znów podobieństwa dziwić mogą tylko chcącego się gwałtownie dziwić p. W. Ponieważ Bank Państwa ma wspólne fundamenta z prywatnymi, działającymi w tym zakresie bankami, rzecz bardzo naturalna, że ma i wspólnych kilkanaście ogniw, będących wynikiem rozwinięcia *wspólnej wyjściowej idei*.

Bank tedy państwowy dla ubezpieczenia rozchodów, może być mniej lub więcej *praktycznym*, ale jest bezsprzecznie moją własnością. Pan W. powinien by był dowieść, że projekt w tej formie był, że nie powiem w broszurze, ale choćby w dziennikarskim artykule gdziekolwiek bądź poruszony, a dowiódłby, że mu szło o rzecz samą, o prawdę, a nie o cóś, czego się nigdy do publicznych polemik nie miesza [1]). Pan W. zdaje się być, sądząc z jego artykułu jeszcze tak niedoświadczonym umysłowo, że pewnie z wdzięcznością przyjmie odemnie kilka uwag.

1) Nie należy kobiecej *drobiazgowości* stosować do kwestyj socyalnych. Robiąc zarzuty mojemu projektowi w rodzaju tego, że jakiś urzędnik mógłby ukraść kilka miljonów rublizkasy—i tem zburzyć gmach cały— robi p. W. wrażenie owego śmiałego bohatera, który dmuchaniem ust swoich chciał zwalić z fundamentów ogromne gmachy Luwru. Gdyby taką argumentacyę stosowano przy zakładaniu choćby Credit Lyonnais, napewno by tego stanowiącego przedmiot p. W. dumy banku zupełnie na świecie nie było.

2) Wystrzegać się trzeba niebezpiecznych porównań. Metoda ta w braku zapasu krytycznej myśli robi wrażenie błąkającego się okrętu bez bussoli. Nie można powiedzieć, że to, co jest dobrem dla Rosyi, będzie również dobrem dla Anglii. Czy dla tego chyba, że oba te kraje zarówno obracają się około słońca?

3) Nie narzuca się przeciwnikowi myśli, o których mu się ani śniło. Pomijając względy elementarnej uczciwości, jest to rzeczą grubo niepraktyczną. Dowodzi p. W. np. na dwóch szpaltach szeregiem cytat z Dühringa etc. (resp. z Roschera) że pieniądze nie stanowią bogactwa narodu. Ależ o tem i wróble na dachach śpiewają!

W której części mojej pracy odnalazł pan Wś. tego rodzaju ideę? Czyż dawałem mu choćby najmniejszą podstawę do takich wniosków. Oszczędność, wynikająca z ubezpieczenia rozchodów, będzie sobie oszczędnością jak każda inna—acz *ukrytą* pod względem formy. Walcząc tą samą bronią, mógłbym powiedzieć, że pan W. stoi na gruncie Heraklidesa i ganiąc wszelką oszczędność, wychwala zbytek. Konkluzya — tedy baczny panie — że nie należy popełniać tego rodzaju rzeczy— choćby dla tego, żeby się popisać, że się czytało Roschera, którego znów w napadzie zbytniej dla niego miłości obrano z $^{9}/_{10}$ swoich cytat.

4) Polemizując z cudzemi myślami— (przyznaje p. W. przecież, że projekt Banku państwa — *acz poroniony* jest moją własnością) należy je przytoczyć. W najgorszym razie robi się to choćby w streszczeniu. P. W.

---

[1]) Co do zarzutów robionych przez p. W. specyalnie Bankowi Państwa, to te albo są wysoce hymorystyczne albo zupełnie nieodnoszące się do przedmiotu. Pan W. chodziło o przypięcie kilku bukietów do kożucha, o przytoczenie kilku wyjętych z jednej broszury cytat — by popisać się swoją uczonością. Bawić się w szczegółowy rozbiór myśli w rodzaju, że przelew kapitałów nie będzie możliwym, że jeżeli rzecz będzie dobra dla jednego państwa, to zaraz i drugie to samo zrobi (a również stopa eskonta różnych państw, pozwalająca kapitalizować Rosyi na 5 czy 6%, a Anglii tylko na 1 czy $1^{1}/_{2}$%, czyli że na co mieszkańcy Rosyi lat 60, mieszkańcy Angili kilkaset lat by czekać winni) etc. etc. nie mogą.

je nietylko pomija milczeniem, ale jak wyżej — wytwarza własne wizye, z któremi walczy aż do śmieszności [1]).

Korzystam zresztą z tej okazyi, by znów kilka słów poświęcić tej ulubionej mojej myśli i przypomnieć ją znowu uwadze tych, którzyby na nią smugę światła a nie słów rzucić mogli [2]). Panu W. przypominam zaś daną mu w innym wypadku radę: by zanim zacznie pisać, *uczciwie* czytać się nauczył!

Jan Finkelhaus.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Nauki. P. Wisłocki pod Garwolinem spotkał ślady osady człowieka przedhistorycznego z epoki kamiennej i znalazł różne naczynia strzały i t. p. do tegoż okresu należące się.

— Biuro statystyczne finlandzkie odznaczone zostało na wystawie geograficznej powszechnej w Wenecyi wzmianką zaszczytną i medalem złotym.

— Zbiór starożytności p. Maliszkiewicza w Żytomierzu, zawierający wiele cennnych zabytków archeologicznych, nabyty został przez hr. Branicką, która ofiarowała zań większą sumę niż agenci angielscy, pragnący zakupić go dla muzeum londyńskiego.

Szkoły i uniwersytety. W uniwersytecie warszawskim studenci pozostający dwa lata na jednym kursie danego wydziału, nie mogąc dalej uczęszczać na tenże sam wydział, mieli prawo przechodzić na pierwszy kurs innego. Obecnie prawo to zostało zniesione.

Przemysł i handel. Na wybrzeżach Morza białego obostrzoną została obecnie straż pograniczna. Pasażerowie, przybywający do przystani wymienionej linii granicznej, podlegają ścisłej rewizyi.

— Komisya wynaczoną została przez ministerium finansów do przejrzenia ustawy tabacznej, celem obmyślenia środków zwiększenia dochodów skarbowych z tytoniu. Do składu tej komisyi, będącej pod prezydencyą dyrektora dochodów niestałych, weszli oprócz 10 zarządzających dochodami akcyznemi i znaczniejsi fabrykanci tytoniu.

— W introligatorniach zagranicznych został wprowadzony nowy sposób zszywania książek za pomocą drutu zamiast nici; odznacza się on trwałością, taniością i umożebnia daleko spieszniejszą robotę.

— Komitet techniczny przy ministeryum dróg i komunikacyj zatwierdził plan budowy nowego kanału, mającego połączyć Dniepr z Dźwiną zachodnią, sporządzony przez inżynierów do tego delegowanych.

— Na kolei Carsko-Sielskiej odbyły się próby z nowym wynalazkiem, mającym na celu spożytkowanie nafty jako materyału do ogrzewania wagonów; wynalazcą jest p. Balukiewicz polak.

— Szkoła handlowa prywatna w r. 1880—81 liczyła uczniów 167 w półroczu pierwszem i 155 w drugiem; uwolnionych od opłaty za naukę było uczniów sześciu, za dwóch uczniów opłata wniesiona zosta z funduszu zebranego przez kupców miasta Warszawy, na pamiątkę jubileuszu J. I. Kraszewskiego, jeden zaś otrzymał stypendyum z zapisu Rapackiej. Ukończyło szkołę wychowańców 22; wolnych słuchaczy było 2.

Rolnictwo i hodowla zwierząt. Okólnikiem ministra dóbr państwa zwołana była komisya do obrad nad stanem głównego w Królestwie Polskiem stada koni Janowskiego w celu zaspokojenia potrzeb kraju pod względem hodowli koni. Komisya uznała za najpilniejsze powiększyć stado liczące obecnie tylko 300 sztuk koni na przestrzeni 3,000 morgów, przyczem postanowiono równouprawnić konie arabskie z angielskiemi.

— Rs. 3,000 dochodu z warszawskiej wystawy ogrodniczej przeznaczono na powiększenie funduszów miejscowej szkoły ogrodniczej.

Finanse. Wypuszczona została nowa 5% pożyczka wewnętrzna na sumę 100 milionów rs. po kursie 92.

Sztuki piękne. Na wystawę Sztuk p. Krywulta w Warszawie przybyły następujące nowe obrazy: Kosaka *Nowe targowisko pod Wawelem;* Sandoza *Wieczór w pustyni Sahara;* Alchimowicza *Zamyślona;* Matejki Władysława *Droga w lesie; Axentowicza Przy karczmie, O zmroku* i *Droga za Wisłą;* Krajewskiego *Spirytualista* i *Studyum męzkie;* Lentza *Studyum kowala;* Loefflera *Kwestarze;* Bieszczada *Za chlebem, Ulica z Kaźmierza* i *Wiosna;* Kostrzewskiego *Studyum;* Lipińskiego *Madonna* (rzeźba).

— Na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przybyły następujące nowości: Wastkowskiego *Krajobraz nocny;* Szpanowskiej *Portret damy* i dwie *Głowy mężczyzny* studya; Somera *Model bramy do domu* (z gipsu); Kulikowskiej Ewy dwa popiersia *Państwo młodzi*, oraz dwa popiersia *Alzacya i Lotaryngia* (z terrakot'ty), Grotgera *Kometa* rysunek.

— P. Tadeusz Dmochowski narysował kredką i sepią część wielkich kartonów przedstawiających sześć typów kobiecych z „Ballad" Mickiewicza; reprodukcye fotodrukowe z tych kartonów dokonano w Monachium.

Literatura polska. *Kodeks dyplomatyczny wielkopolski* obejmujący dokumenty tak już drukowane jak i dotąd nieogłoszone sięgające do r. 1400, wydawany staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, tom IV zawiera: Suplement, indeks, tablice z pieczęciami i mapę Wielkopolski.

— Kolbenheyer. *Pomiary barometryczne w Tatrach.*

— Łepkowski. *Przemówienie nad grobem Karola Mecherzyńskiego.*

— Maurer. *Urzędnicy kancelaryi królów polskich* z lat 1434—1506, studyum dyplomatyczne.

— Mueldner. *Z nad brzegów morza północnego*, wspomnienia z podróży odbytej w r. 1879.

— Rembieliński. *Salomon Majmon*, przyczynek do dziejów filozofii w Polsce.

— Sales. *Najnowsze tajemnice Paryża*, czyli sceny z ostatnich dni trwogi, powieść historyczna.

— Schram. *O stanowisku talu* w systematyce chemicznej.

— Skuczalski. *Objaśnienia do prawa cywilnego*, obowiązującego w Królestwie polskiem.

— Sprawozdania komisyi do badania sztuki w Polsce, tom II-gi zeszyt 1 i 2-gi.

— Asnyk. *Poezye*, (wydanie czwarte) Lwów.

— *Biblioteka uniwersalna* wydana w Tarnowie, zeszyt sierpniowy zawiera. Bernatowicza: Pojata i Wężyka: Okolice Krakowa.

— Ćwikliński. *Homer i homerycy*, rzecz o studyach i przekładach Homera.

— Estreicher. *Wincenty Pol i jego otoczenie.*

— Eurypides. *Ifigenia w Aulidzie*, tragedya, przekład Z. Węclewskiego.

— Finkelhaus. *Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki.*

— Fritsche. *O magnetyzmie zwierzęcym.*

— Godlewski. *Definicya choroby dyfterytis* oraz pewny sposób jej leczenia.

— Jankowski. *Owoce i wytwarzanie odmian owocowych.*

— Karte der *Central-Karpathen.*

— Kluczycki. *Pisma do wieku i spraw Jana Sobieskiego.*

Teatr. Nowości zapewniają, że monopol rządowy teatrów ma być zniesiony. Z tego względu *Gazeta Warszawska* zagęgała, ostrzegając nasz Kapitol Melpomeny od najazdu gołych a chciwych zysku spekulantów.

— Ministeryum spraw wewnętrznych nie zgodziło się na budowę teatru rządowego na placu Saskim w Warszawie.

— Teatry ogrodowe zostały już zamknięte a towarzystwa dramatyczne dające w nich przedstawienia rozjechały się na prowincyę. Niektóre z nich poniosły podobno znaczne straty.

Nekrologia. Noskowski Władysław zmarł we Lwowie. Autor *Kultury lnu w Belgii* oraz *Podręcznika uprawy lnu*, nauczyciel chemii w Dublanach, potem tłomacz *Bajek* Lafontaine'a, jednocześnie reporter *Wieku* i *Echa*, sprawozdawca muzyczny, humorysta w *Kolcach*, zbyt wiele i zbyt różnych zagonów uprawiał, ażeby którykolwiek mógł obsiać należycie. Ci, co go bliżej znali, chwalą jego charakter, my mieliśmy sposobność oceniać tylko zajadłe przeciw nam wycieczki w *Kolcach*.

— Teofil Wisłocki (ur. 1815), doktor medycyny, profesor uniwersytetu warszawskiego, zmarł nagle w Warszawie. Działalność swą rozwijał wielostronnie. Oprócz przekładów i rozpraw lekarskich z zakresu patologii i medycyny sądowej (w językach: polskim, rosyjskim i niemieckim), pisał broszury topograficzne a od r. 1856—7 wydawał we Lwowie dziennik polityczny *Świt*, z udziałem H. Nowakowskiego i R. Zmorskiego. Nadto przetłomaczył powieść Sanda *Joanna*, Sterne'a *Jorykę* oraz O. Peschla *Naukę o ludach*. Nad grobem przypomnieć warto, że był serdecznym przyjacielem młodzieży i że jako polak uszczuplił swą śmiercią słaby w uniwersytecie warszawskim żywioł miejscowy.

— *Paulina Rivoli* (ur. 1825), słynna niegdyś śpiewaczka, w r. 1863 usunięta ze sceny, zmarła w Warszawie.

Zawiadomienie. Grono osób, zajmujących się ułożeniem Książki pamiątkowej o b. Szkole głównej, ponawia dawniej już ogłoszone wezwanie do wszystkich byłych studentów tej szkoły, ażeby zechcieli nadesłać następujące informacye:

1) Rok i miejsce urodzenia.

2) Szkoły, do których uczęszczali.

3) Rok wstąpienia do Szkoły Głównej i czas pobytu w niej.

4) Stanowisko obecne, a także prace drukiem ogłoszone.

Informacye te posłużą do ułożenia spisu studentów b. Szkoły Głównej, który wejdzie w skład historyi losów tej instytucyi.

Byli studenci wydziału prawnego raczą nadsyłać wiadomości powyższe pod adresem Jana Maurycego Kamińskiego, Niecała nr. 8, — wydziału lekarskiego — pod adresem Konrada Dobrskiego, Marszałkowska nr. 50, — wydziału matematyczno-fizycznego — pod adresem Eugieniusza Dziewulskiego, Podwale nr. 2, — wydziału filologiczno-historycznego — pod adresem Piotra Chmielowskiego, redakcya *Ateneum*, Włodzimierska nr. 14.

Upraszamy wszystkie pisma polskie o powtórzenie tej odezwy.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Jednemu z czytelników. Istotnie przypuszczasz Pan, że taka wzmianka może być wydrukowaną w Warszawie? Pozwinę Pan prawa swego kraju.

Studentowi w Petersburgu. Najlepszą jest dotąd gramatyka Małeckiego, większa lub mniejsza. W trzech wskazanych przez Pana językach polecić możemy tylko *Historyę filozofii* Lewesa, która zdaje się przetłomaczona została na język rosyjski. Po polsku mamy tylko lichy podręcznik Schweglera i znakomite dzieło Langego ze szczególnem uwzględnieniem filozofii materyalistycznej. Traktat Milla przetłomaczony. Wydawnictwo *Przyrody i Przemysłu* nie zostało dotąd wznowionem. Gdzie wydana owa historya?

[1]) W krótkim zresztą czasie wyjdzie z druku obszerniejsza w tym względzie praca, gdzie, na podstawie rozbioru dostarczanych mi ostatniemi czasy sprawozdań z działalności różnych prywatnych towarzystw, szczegółowo udowadniam poruszoną przezemnie myśl w artykułach *Prawdy*, że tylko Bank Państwowy, projektowanej przezemnie formie, z możnością obracania dochodów z tego źródła na amortyzacyę długów — zdoła należycie wyzyskać i wyzyska potęgę składanych procentów!

[2]) Mimo naciągania zdań *luźnie* wyjętych z mojej pracy i programu towarzystwa prywatnego — do czego się p. W. naiwnie przyznaje — występuje coś wręcz przeciwnego. Niechcę do nimnich quasi naukowej mieszać pewnych *określeń*, ale *upoważniam* p. W. do wybrania sobie z dykcyonarza... odpowiedniego.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Октября. 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.